GŁOS KARMELU

Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia wewnętrznego

Treść

Zasady i praktyka życia wewn.

CHRZEŚCIJAŃSKA ZASADA ASCEZY *(Ks. Dr Marian Rzeszewski)* 113
WDZIĘCZNOŚĆ *(O. Romuald Kostecki O.P.)* 119
MODLITWA WEDŁUG NAUKI ŚW. TERESY OD J. *(O. Maria Eugeniusz od Dz. Jezus Karmelita Bosy)* 124
„IGNIS ARDENS" *(S. Leonia Niepokalanka)* 144
SIOSTRA M. OTMARA SŁUŻEBNICZKA MARYI 155
CECHY OSOBOWOŚCI ŚW. TERESY OD DZIECIĄTKA JEZUS *(Ks. M. R.* 135
„NOWA MAŁA ŚWIĘTA" — *Św. Maria Goretti* 150
Nadesłano do redakcji 160

ROCZNIK XX 1951 — Nr 5—6

Ważne ogłoszenie

Z polecenia Państwowego Przedsiębiorstwa Kolportażu „Ruch" przypominamy P. T. Odbiorcom pisma „Głos Karmelu", iż opłatę za pobieranie pisma należy uiszczać zawsze zgóry w terminie do dnia 20 miesiąca poprzedzającego ukazanie się żądanego numeru pisma. Niezapłacenie prenumeraty na czas powoduje automatycznie przerwę w dostawie pisma. Dlatego w interesie P. T. Prenumeratorów „Głosu Karmelu" leży, aby pamiętali, na jaki okres uiścili opłatę i na czas odnawiali prenumeratę.

Wpłaty należy kierować:

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch" P. K. O. Kraków — Dział Prenumeraty Pocztowej, Wydawnictwo Religijne i Naukowe

Nr IV-9451/110

zaznaczając na odwrocie czeku: Na „Głos Karmelu".

Również pobierającym miesięcznik do dalszej sprzedaży (tj. komisantom) zwraca się uwagę, aby należność bezwzględnie wpłacali do miesiąca od daty otrzymania pisma. Niezapłacenie powoduje wstrzymanie dalszej dostawy pisma.

Reklamacje w sprawach dostawy pisma kierować na adres:

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch"

Kraków, ul. Lubicz 42

GŁOS KARMELU

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO

Rocznik XX 1951 Nr 5–6

Ks. Dr Marian Rzeszewski

CHRZEŚCIJAŃSKA ZASADA ASCEZY

Pokuta służy dwom celom na płaszczyźnie psychologicznej: nie pozwala zahamowaniom spowodowanym przez winę moralną zejść w nieświadomość i powodować kompleks chorobowy, a ponadto odsłania ukryte kłopoty, by przeniesione na poziom woli mogły być kontrolowane, a nawet opanowane. Fatalne bowiem są skutki tłumienia niepokoju, winy, grzechu i innych udręk.

I. CHRZEŚCIJAŃSKA FILOZOFIA SAMOWYRAŻANIA

Chrześcijaństwo głosi, że tłumienie jest szkodliwe, ale wprowadza konieczne rozróżnienie. Głosi ono, że dobre jest tłumienie złych myśli, pragnień i czynów, jak chęć zabijania, rabunku, oszczerstwa czy nienawiści. Chrześcijaństwo piętnuje tłumienie w i n y przez negowanie potrzeby spowiedzi. Stwierdza, że złe jest dla człowieka tłumienie łask aktualnych, natchnień do dobrego i chęć ofiary dla bliźnich.

Chrześcijaństwo nie głosi, że dobre jest tłumienie instynktu seksualnego. Lecz głosi ono tłumienie n a d u ż y c i a tego instynktu. Chrześcijaństwo nigdy nie uczyło, że człowiek wypowiada się tylko w dwóch poziomach: świadomym i nieświadomym. Twierdzi ono, że są trzy poziomy: ciało, dusza i pragnienie Boga. Człowiek nie jest poddany instynktom zwierzęcym tylko. Ma on również pierwiastki etyczne i duchowe, żądające swego wyrazu. Niezawsze jest to łatwe. Nie ma automatycznego podporządkowania ciała duszy, a całej osobowości Bogu, co stanowi dla chrześcijan istotę samowyrażenia. Coś uszkodziło naturę ludzką, a wszystko wskazuje na fakt, że stało się to wskutek jakiegoś nadużycia wolności. Człowiek i świat są na niższym poziomie, niż to było przeznaczone. Odpowiada za to człowiek.

Z powodu jego upadku jest w nim skłonność do zła, dlatego ciało nie zawsze poddaje się duszy, a dusza nakazom Boga. Czasem ciało stawia żądania bardzo imperatywne, choć zwrócone przeciw interesom duszy. Ponieważ trzy są składniki ludzkiej osobowości, wynika stąd różnica chrześcijańskiego ujęcia instynktów zwierzęcych. Chwytać każde przeżycie jest łatwo, gdy odmawiać sobie pewnych przeżyć dla uzyskania innych jest trudniej, ale stanowi to właściwszą drogę osiągnięcia samorealizacji. Nie można też mówić bez zająknięcia o konieczności samorealizacji bez określenia, jakie to „ja" ma być realizowane. Psychologia utopijna uznaje bierne poddanie się ducha, puszczenie luzem niższej części osobowości. Sądzi ona fałszywie, że żyjąc zgodnie z dziedzictwem zwierzęcym osobowość odzyskuje te dary, które chora dusza zgubiła. Chrześcijaństwo zaś zaleca nie bierne poddanie się, lecz samokontrolę. Człowiek bierze w garść i trzyma karnie niższe żądze, aby je skierować ku celom wyższym. Szczęście polega na pokonaniu skłonności do zła przez uświadomienie sobie boskiego powołania i opanowania naporu natury. Osiąga się to przez askesis, czyli graniczącą prawie z gwałtem ascezę. To miał na myśli Chrystus, mówiąc, że Królestwo Niebieskie gwałt cierpi i tylko gwałtownicy je porywają. Doskonałość jest oddaniem satysfakcji osobowości przez osiągnięcie życia, prawdy i miłości, którą jest Bóg. Poddając się biernie człowiek w obecnym stanie skazuje się na zamarcie. Dla uzyskania zdrowia musi wziąć gorzkie lekarstwo i poddać się operacji. Mówiąc o jarzmie Chrystus zalecił swym wyznawcom czystość, ubóstwo, cichość, łaknienie sprawiedliwości i miłosierdzia.

II. CECHY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ ASCEZY

To chrześcijańskie prawo karności różni się bardzo od hinduskiej i greckiej drogi doskonałości, opartej na obojętności. Ogólnie biorąc Hindus był obojętny na osobowość, a starożytny Grek na świat. Chrześcijanin odrzuca myśl wygaszenia własnej duszy, albo zupełnego odcięcia się od świata.

Wypowiedzenie siebie jest nierozłączne od zbawienia świata i duszy jednostkowej. Stąd cechą chrześcijaństwa jest, że w Sakramentach używa nieuporządkowanych elementów stworzenia tak, że służą one postępowi osobowości ludzkiej. Przyjmując najwyższą wartość świata w człowieku chrześcijaństwo głosi, że cel człowieka w zbawianiu siebie jest także celem zbawienia świata.

Dalszym zapomnianym punktem chrześcijańskiej ascezy jest, że samokarność nie jest celem, lecz środkiem. Celem jej jest miłość. Kto ujarzmienie impulsów zwierzęcych czyni pierwszym celem życia, jak to czynią niektórzy mistycy wschodni, uzyskuje negację ciała, lecz nie

afirmację ducha. Tymczasem św. Paweł oświadczył Koryntianom, że choćby kto wydał ciało swoje tak, iżby gorzał, bez miłości bożej na nic by mu się to zdało. Chrześcijanin stosuje umartwienie, aby przez wyjście z niewoli upadłej natury przejść do życia miłości bożej. Chrystus nigdy nie powiedział, że pragnienia cielesne są złe w sobie, ale, że nie powinny one tak zaciążyć na duszy, aby człowiek stracił większe skarby. Celem życia chrześcijańskiego jest osiągnięcie miłości, i jest podwójne przykazanie jej dotyczące: miłości Boga i miłości bliźniego. Dla osiągnięcia obu trzeba pewnego ascetyzmu. Drogą do miłości Boga jest opanowanie samolubstwa, a drogą do pokonania zła w bliźnich jest świadczenie im dobroczynnej siły miłości.

Lecz wiek nasz nie jest wiekiem, w którym asceza jako cel stwarza pokusę, przed którą trzeba by tych ostrzeżeń. Pospolitszym błędem jest pobłażanie sobie. Nic nie jest groźniejszego dla cywilizacji., jak miękkość i nic tak niszczącego osobowość, jak brak karności. Znany historyk Arnold Toynbee stwierdza, że z dwudziestu jeden cywilizacji zamarłych, szesnaście upadło z powodu rozkładu wewnętrznego. Narody częściej popełniają samobójstwo.

Pokój jest owocem miłości. W człowieku zwróconym ku Bogu żyje miłość. Największym przywilejem człowieka jest nastawienie życia na Boga. Bóg troszczy się o to, aby życiem naszym kierować; jest to najsilniejszy dowód Jego ku nam miłości. Nie troszczymy się o szczegóły życia osoby niekochanej. Nie interesują nas zbytnio ludzie z tramwaju lub z ulicy. Lecz gdy kogoś z nich poznamy i pokochamy, interesujemy się jego życiem i troszczymy o nie. Gdy wprowadzamy kogoś w sferę swej miłości, wzrasta nasze zainteresowanie i jego szczęście. Podobnie gdy wchodzimy w sferę miłości bożej, wzrasta boskie przewodnictwo w szczegółach naszego życia i stajemy się coraz pewniejsi głębi i realności boskiej miłości. W zależności od stopnia poddania się Bogu, bierze On naszą wolę i działa w nas przez niedostrzegalne prawie sugestie powstające z wewnątrz. Czujemy, jakbyśmy sami chcieli czynić to, co On nam podsuwa; nie odczuwamy, żeśmy pod rozkazami. W ten sposób służba Bogu staje się najwyższą wolnością.

Bóg oczywiście chce, aby człowiek szukał szczęścia, które On dać może. Matka samowolnej córki chce przeniknąć jej umysł, aby natchnąć jej wolę. Boleje, jeśli tego uczynić nie może. Szczęśliwość obu zależy od tego, czy córka pozwoli działać miłości matczynej, bo rodzice nie potrafią kierować dzieckiem, walczącym z ich wolą. I Bóg nie może nami kierować, jeśli wolą naszą rządzą instynkty, dające zadośćuczynienie każdemu zbuntowanemu żądaniu. Porządek wszechświata opiera się na poddaniu elementów chemicznych roślinom, roślin zwierzętom, zwierząt człowiekowi; pokój człowieka wypływa podobnie z poddania się Bogu.

Samokarność jest naprawdę wyrażeniem siebie, wyrażeniem tego, co w człowieku najlepsze. Rolnik wyoruje chwasty, aby umożliwić najpełniejsze wyrażenie pragnienia ziarna do wzrostu. Umartwienie lub asceza nie odrzuca instynktów czy uczuć, nie odrzuca ich w nieświadomość. Instynkty i uczucia są dobre. Samokontrola jest tylko wzięciem w ryzy ich nieuporządkowanych ekscesów. Napić się trochę wina, jak pozwolił św. Paweł Tymoteuszowi (I Tym., V, 23), to pójść za instynktem, lecz napić się tyle, żeby zapomnieć, że się ma głowę, to nadużycie wina jako bożego stworzenia.

III. NAMIĘTNOŚCI „SUROWCEM ŚWIĘTOŚCI"

Raz poddawszy woli instynkty i namiętności można nimi kierować. Katolicyzm nie tłumi namiętności, powściągając ich bezprawne wyrażenie. Nie neguje uczuć bardziej, niż głodu. Tylko zaleca, aby siedząc przy stole człowiek nie jadł jak zwierzątko. Chrystus nie tłumił potężnej, uczuciowej gorliwości Pawła. Tylko odwrócił ją z nienawiści w miłość. Chrystus nie tłumił żywotności biologicznej Magdaleny, tylko odwrócił jej namiętność od miłości występku ku miłości cnoty. To odwrócenie energii wyjaśnia dlaczego najwięksi grzesznicy, jak Augustyn, stają się czasem największymi świętymi. Kochają Pana Boga szczególnie intensywnie nie dlatego, że byli grzesznikami, ale że mają silne namiętności. Płomienne uczucia, zwrócone ku świętym celom, czynią tyle dobra teraz, ile kiedyś zła.

Odnosi się to i do narodów. Większe są możliwości dla apostolstwa chrześcijańskiego w krajach rewolucyjnych, niż w obojętności i fałszywej tolerancji letnich liberałów. Bóg może więcej zrobić z ognia, niż z letniej wody.

Silne namiętności są cennym surowcem świętości. Skrajni grzesznicy nie powinni nigdy mówić: Pan Bóg już nas nie chce. Pan Bóg przyjmie każdego, kto chce miłować, nie gestem okolicznościowym, lecz z „wielkim spokojem". Człowiek niepokutujący jest jak chcący pływać po suchym lądzie. Lecz gdy zbierze swe błędne energie ku Bogu i poprosi o nadanie im nowego kierunku, będzie szczęśliwy, jak nigdy przedtem. Nie stare zło powstrzymuje nas od Boga, lecz obecny upór w złem. Kto odwraca się od Boga jak Magdalena i Paweł, ten życzliwie przyjmie umożliwienie mu kierunku dawnych tendencyj. Umartwienie jest dobre, gdy pochodzi z miłości Boga. Asceza dla ascezy jest nową formą egoizmu. Wszelka asceza rozrywająca miłość Boga byłaby zła. Asceza, która czyni nas mniej miłymi bliźnim, także nie podoba się Panu Bogu. Właściwe umartwienie doskonali naturę ludzką. Ogrodnik odcina zielone kiełki z korzenia krzaków nie dla zniszczenia róży, lecz dla jej piękniejszego rozkwitu. Podobnie celem umartwienia jest zjednoczenie z Bogiem.

Dobre uczynki dla ludzkich celów biorą tylko ludzką nagrodę. Tylko umartwienie z miłości bożej, doskonali duszę. Musi ono pochodzić z właściwej pobudki i składać te rzeczy, do których najwięcej przylgnęliśmy. Św. Paweł przypomina: Choćbym rozdał wszystkie dobra ubogim, i wydał ciało moje tak, iżby płonęło, a miłości bym nie miał, na nic się to zda“ (I Kor., XIII, 3). Fenelon wskazuje, jak pewne rezerwaty w woli przeszkadzają postępowi duchowemu: „Krąży się obok takich rezerwatów, strzegąc ich jak oka w głowie. Nie wolno dotknąć człowieka w tym miejscu. Im ktoś bardziej wzdryga się przed poczuciem takiego rezerwatu, tym pewniejsze, że musi go porzucić. Duch łaski tchnie, lecz okręt przykuty do dna niewidzialnymi kotwicami. Nie boża to wina, lecz nasza“ [1]).

Umartwienie opiera się na wyborze. Matka poświęca rumieniec swego lica, aby go dać twarzyczce swego dziecka. Uczony badacz rezygnuje z rozwinięcia swych muskułów. Życie moralne wymaga powiedzenia: „nie“ fałszywym ideałom, sławiącym siłę i egoizm. Błędem więc jest mówić, że się w umartwieniu coś oddaje. Chrystus nigdy nie żąda oddania czegoś. Żądał zamiany: „Co za odmianę da człowiek za duszę swoją“? Miłujący Boga stwierdza istnienie czegoś, bez czego może się obejść (przyjemność), i istnienie czegoś innego, bez czego obejść się nie może, mianowicie pokój ducha z posłuszeństwa woli bożej. Dokonując więc zamiany, rezygnuje z mniejszego dobra, aby zyskać Królestwo. Takie korzystne zamiany robi się codziennie.

W ten sposób miłość Boga staje się w nim panującą namiętnością życia. Jak każda miłość, inspiruje ona ofiary. W naszych czasach miłość Boga i bliźniego jest zastąpiona tolerancją bez ofiar. Ale któż podjął ofiarę w imię tolerancji? Dlaczego człowiek ma być tylko tolerowany? Jedną z najokrutniejszych rzeczy dla człowieka jest być tolerowanym. Chrystus nie powiedział nigdy: Tolerujcie swych wrogów, lecz: „miłujcie nieprzyjaciół, dobrze czyńcie nienawidzącym was“ (Mat., V, 44). Jest to możliwe tylko przy wzięciu w karby naszych animozyj. Samokarność czyni coś więcej: daje stały cel. Idzie się do takiej samokarności przez medytację. Najtragiczniejsi z ludzi nowożytnych, to ludzie uwięzieni we własnych umysłach. Tylko medytacja może przełamać to ogłupiające egocentryczne koło przez inwazję Bóstwa. Są ludzie, którzy nigdy nie rozmyślali i nie wiedzą nawet co to jest panować nad sobą. Usiłują oni wynagrodzić sobie każde nowe rozczarowanie nową próbą, dawne niesmaki gorączką nowych podnieceń. Zmieniają partnerów. Ale nuda zostaje. Otwierają rany duszy, przecząc istnieniu ran i duszy.

Co mają uczynić ci biedni, rozczarowani neurotycy, aby uniknąć podpełzającej choroby? Wniknąć w siebie, podnieść wzrok do boskiego

[1]) Lettres spirituelles.

Lekarza i zawołać: „Miej litość nade mną". Jedna spowiedź, pomagając im w darowaniu win, ocaliłaby ich. Bóg przebacza żałującym, lecz nie przebacza odkładającym. Zło męczy umysł, serce i duszę, lecz samo jest niestrudzone. Trzeba będzie je wyrwać. Tajemnicą pokoju duszy jest scalenie, oderwanie od zła, a przylgnięcie do Boga, odrzucenie egoizmu, jako miary postępowania, a postawienie Chrystusa, jako władcy czynów.

O. ROMUALD KOSTECKI O. P.

WDZIĘCZNOŚĆ

Apostoł narodów napomina wiernych, aby postępowali stosownie do godności, jakiej dostąpili przez łaskę usynowienia Bożego.

„Proszę was tedy, ja więzień w Panu, abyście postępowali w sposób godny powołania, do którego wezwani jesteście" (Efez. 4, 1). Z nieskończonej dobroci Boga dostąpiliśmy wielkiej godności. Jesteśmy ludźmi i zarazem dziećmi Bożymi. „Patrzcie, jaką miłość okazał nam Ojciec, żeśmy zostali nazwani dziećmi Bożymi i że nimi jesteśmy. Najmilsi! teraz jesteśmy dziećmi Bożymi, a jeszcze się nie okazało, czym będziemy" (I Jan, 3, 1—2). Pierwej jesteśmy dziećmi ziemskich rodziców, niż dziećmi Ojca niebieskiego. Jako ludzie jesteśmy podmiotem łaski. Łaska przychodząc do nas, nie niszczy, nie uszczupla w niczym naszej natury ludzkiej, ale uzdrawia i wzmacnia to, co w niej jest schorzałe i słabe, oczyszcza ją, uszlachetnia, od wewnątrz przemienia, podnosi na poziom Boży. Słowem uświęca nas, dopuszczając do uczestnictwa w naturze Bożej. „Przez którego największe i kosztowne obietnice nam darował, abyście się przez nie stali uczestnikami Boskiej natury" — (II Piotr, I, 4).

Aby rozwinąć w sobie łaskę usynowienia Bożego, trzeba jej przygotować odpowiedni grunt, przez uszlachetnienie i doskonalenie w sobie pierwiastków ludzkich. Nie można być dobrym dzieckiem Bożym, nie będąc wpierw szlachetnym człowiekiem. Zaniedbywanie w sobie przyrodzonej doskonałości ludzkiej utrudnia łasce przerobienie nas od wewnątrz. Natura ludzka zostawiona samej sobie, nie opanowywana pracą wewnętrzną, będzie się sprzeciwiać działaniu łaski i nie pozwoli nam dojść do pełni rozwoju człowieczeństwa.

Zabierając się do pracy nad sobą, trzeba zaczynać od dołu, to jest od strony ludzkiej. Trzeba mieć na uwadze cechy właściwe naszej naturze. Trzeba pamiętać o tym, że jesteśmy istotami z natury społecznymi, które bez pomocy innych nie dadzą sobie rady w życiu i nie potrafią się należycie rozwinąć. Wszyscy potrzebujemy się wzajemnie i nawzajem musimy sobie pomagać. Każdy z nas wiele zawdzięcza innym i na każdym ciążą obowiązki wobec otoczenia. Ażeby je należycie wypełnić, trzeba wyrobić w sobie nastawienie społeczne, czyli gotowość oddania tego „co jest cesarskiego cesarzowi, a tego co jest Bożego, Bogu".

Nastawienie społeczne wnosi cnota kardynalna sprawiedliwości wraz z cnotami około niej się grupującymi. One to regulują wzajemny stosunek między poszczególnymi jednostkami oraz jednostkami i cało-

ścią społeczeństwa. One wprowadzają w życie społeczne harmonię, nadają mu treść, czynią je miłe.

Główną rolę ma tu do spełnienia sama cnota sprawiedliwości, lecz ona sama nie potrafi współżycia między ludźmi uczynić łatwym i miłym. Jej wymagania dotyczą podstaw życia społecznego. Zwyczajnie określa je prawo pozytywne, za którym stoi sankcja karna. Gdybyśmy oddawali innym tylko to, do czego nas zmusza rygor prawa, życie społeczne byłoby przykre i w wielu wypadkach bardzo trudne. Dlatego cnocie kardynalnej sprawiedliwości winny towarzyszyć i pomagać inne cnoty, nastawiające nas do oddawania innym nie tylko rzeczy prawem przepisanych, ale tego wszystkiego, czego domaga się nasza ludzka szlachetność.

Cnota kardynalna sprawiedliwości ma to do siebie, że dąży do wprowadzenia równości w stosunkach społecznych i jej wymagania są bardzo ścisłe. Kto pracuje na korzyść drugiego, ma ścisłe prawo do wynagrodzenia, równego ilości włożonej pracy. Nie zawsze w stosunkach z innymi można dojść do równości. Zachodzą wypadki, kiedy żadną miarą na nią zdobyć się nie potrafimy. Tak się rzecz ma w stosunku do Boga, rodziców, przełożonych. Nasze zobowiązania wobec nich są bardzo ścisłe, opierają się bowiem na sprawiedliwości, nie możemy jednak im oddać tyle, ileśmy od nich otrzymali. Tu nie może być mowy o równości. To, co im damy, będzie zawsze poniżej tego, cośmy od nich otrzymali. I dlatego cnota religii, regulująca nasz stosunek do Boga, cnota pietyzmu do rodziców i do bliskich, cnota szacunku do przełożonych, zaliczają się do sprawiedliwości, z racji ścisłości wymogów jakie nam stawiają. Nie domagają się jednak, byśmy dążyli do równości, wystarczy gdy się zdobędziemy na tyle, na ile nas stać.

O równości czyli o oddaniu tyle ileśmy otrzymali, nie można tu marzyć.

Zachodzą też takie wypadki w stosunkach społecznych, gdzie równość jest możliwa, lecz zobowiązania nie są tak ścisłe, jak w samej cnocie sprawiedliwości. Opierają się bowiem nie na rygorze prawa, ale na szlachetności natury ludzkiej. Jesteśmy obowiązani do praktykowania niektórych cnót nie dlatego, że prawo nam je wskazuje, że bez nich współżycie wzajemne między ludźmi byłoby niemożliwe, ale dlatego, że domaga się ich naturalna szlachetność człowieka i życie społeczne bez nich byłoby zbyt ciężkie.

Do takich cnót należy między innymi zaliczyć wdzięczność.

Żyjąc w społeczeństwie korzystamy z dobrodziejstw innych. Ci co nam je wyświadczają, przelewają dobra będące ich własnością na naszą korzyść. Słuszną tedy jest rzeczą byśmy się im za to odpłacali wzajemnością. Na tym właśnie polega praktyka wdzięczności. Dobrodziejstwa doznane pociągają za sobą zobowiązania wobec dobrodziejów, większe

lub mniejsze, zależnie od rodzaju i wielkości dobra otrzymanego. — Wdzięczność jest to więc uznanie dobrodziejstwa doznanego, połączone z chęcią zrewanżowania się.

Największym naszym dobrodziejem jest Bóg. — On bowiem jest pierwszym źródłem wszystkiego co posiadamy. „I cóż masz, czego byś nie otrzymał?" (I Kor., 4, 7). Nie posiadamy nic o czym moglibysmy powiedzieć, że jest wyłącznie dziełem naszym i co nie pochodziłoby od Boga, jako pierwszej Przyczyny wszechrzeczy.

Po Bogu najwięcej zawdzięczamy rodzicom, którzy dali nam życie i kierunek życiowy przez wychowanie, następnie tym wszystkim, którzy w jakiejkolwiek dziedzinie mieli władzę nad nami, nami kierowali. Za dobrodziejstwa od nich doznane winniśmy się poczuwać do wdzięczności. Wobec Boga przybierze ona formę religijności, wobec rodziców miłości nacechowanej czcią, a wobec przełożonych objawiać się będzie przez szacunek im należny.

Poza tym spotykamy się w życiu z dobrodziejstwami doznanymi od poszczególnych osób, nieraz nam zupełnie obcych. Na nie winniśmy odpowiedzieć wzajemnością. Do tego właśnie nakłania nas specjalna cnota wdzięczności, odrębna od trzech wyżej wspomnianych. Jej wymagania nie są tak ścisłe, jak wobec Boga, rodziców i przełożonych, nie mniej jednak, jest ona nader ważna w pożyciu z innymi.

Jeśli wdzięczność ma zasługiwać na miano cnoty, musi się odznaczać nadzwyczajnym taktem. Wdzięczność ma się wzorować na dobroczynności. Dobrodziejstwo, pisze Seneka, zasadza się nie tylko na tym, co się komuś daje, ile na wewnętrznym nastawieniu z jakim się to robi. Prawdziwe dobrodziejstwo ma u podstaw życzliwość. Gdyby ktoś — dodaje tenże myśliciel — wyświadczając innym dobrodziejstwa miał na oku nie ich dobro ale własny, osobisty pożytek, takiego należałoby postawić na równi z tymi, którzy tuczą bydło, aby z niego mieć większy pożytek. Wielkość dobrodziejstwa mierzy się w pierwszym rzędzie wewnętrzną życzliwością i chęcią sprawienia innym radości. To zaś wymaga dużego taktu. Trzeba tu brać pod uwagę wiele okoliczności, przewidzieć co dla kogo jest miłym, w jakim czasie najchętniej to przyjmie. Niekiedy — zaznacza Seneka — więcej nas zobowiązuje, kto daje mało ale wspaniałomyślnie, kto udziela skąpo ale ochotnie.

Gdy nam ktoś wyświadcza dobrodziejstwo, należy je przyjąć chętnie, uznać je w głębi duszy, lecz nie od razu się za nie rewanżować, ale wyczekiwać odpowiedniego momentu, w którym nasza wdzięczność będzie najlepiej przyjęta. Może to być np. dzień imienin, ślubu itp. Zbytni pośpiech w odwdzięczeniu się może być przykrym dla dobroczyńcy. — Słusznie zaznacza Seneka, że jeśli ktoś zbyt szybko odpłaca się za doznane dobrodziejstwa daje tym samym do zrozumienia, że ono jest dla niego ciężarem. To zaś świadczyłoby o braku wdzięczności. Taki — mówi dalej — posiada nastawienie dłużnika a nie człowieka wdzięcznego.

Pierwszym stopniem wdzięczności jest przyjęcie i uznanie dobrodziejstwa doznanego. Na to każdy i w każdej chwili może się zdobyć. Za uznaniem winno iść podziękowanie. „Za wszystko składajcie dzięki, bo taka jest wola Boża w Chrystusie Jezusie względem was wszystkich" (I Tess., 5, 18). Ono również jest w naszej mocy, niezależnie od tego, jaki jest nasz stan materialny. Doznawszy dobrodziejstwa spieszmy z podziękowaniem, na wzór jednego z dziesięciu trędowatych, uzdrowionych przez Chrystusa, który skoro zobaczył, że był uzdrowiony, wrócił się, głosem wielkim wielbiąc Boga i padł na oblicze do stóp jego dziękując..." (Łuk.., 17, 15—16). Wdzięczność prawdziwa idzie jeszcze dalej. Nie ogranicza się do wewnętrznego uznania i słownej podzięki, ale zdobywa się na czynne odwzajemnienie się. To jednak nie zawsze i nie dla każdego jest możliwe. Mogą zajść wypadki, że mimo najlepszej woli nie będzie nas stać na zrewanżowanie się. Wtedy należy poprzestać na uznaniu dobrodziejstwa i okazaniu go słowami, pochwałą szczerą i bez pochlebstwa. Podobnie należy postępować, gdy dobrodziej nasz jest w takim położeniu, że niczego od nas nie potrzebuje i cokolwiek byśmy mu dali, to nie przyczyni się do jego szczęścia.

Przeciwieństwem cnoty wdzięczności jest niewdzięczność, której nam strzec się należy i która może posiadać różne formy i stopnie. Może się ona objawiać bądź to przez czynności wprost przeciwne cnocie wdzięczności, bądź też przez jej zaniedbywanie. Ta ostatnia zdarza się najczęściej. Pierwszym stopniem niewdzięczności przez opuszczenie, jest nieodwzajemnienie się czynem, gdy się jest w stanie to uczynić; większą niewdzięcznością jest milczeć i udawać, że się dobrodziejstwa nie doznało; jeszcze większym jest się niewdzięcznikiem, gdy się dobrodziejstwa nie uznaje. Zapomnienie o obowiązku wdzięczności jest w większości wypadków zawinione i nie usprawiedliwia nas. Zwyczajnie pochodzi ono z niedbalstwa. Kto zapomina o dobrodziejstwie — mówi Seneka — jest to dowodem, że nie myślał o odwdzięczeniu się za nie. To zaś jest już występkiem niewdzięczności. Jeszcze gorzej jest, gdy zamiast odwdzięczyć się, za dobro doznane odpłaca się złem, albo, co jest jeszcze cięższym stopniem niewdzięczności, gdy się dobrodziejstwo gani, a szczytem niewdzięczności, gdy się dobrodziejstwo doznane uważa za krzywdę sobie wyrządzoną i pogardza się dobroczyńcą albo dobrodziejstwem, którego się doznało. Pogarda dobrodziejstwa stanowi specjalny gatunek grzechu. Jest to właściwy występek niewdzięczności. Gdy natomiast niewdzięczność pochodzi nie z pogardy albo z jakiejkolwiek innej przyczyny, np. ze skąpstwa, wówczas nie stanowi ono odrębnego grzechu, ale jest okolicznością zwiększającą złość grzechu, który jest jej źródłem.

Niewdzięczność jest znakiem małej szlachetności, małego wyrobienia duchowego, jest odrażająca i przez to ujemnie oddziaływuje na współżycie z otoczeniem. Cnota wdzięczności natomiast jest czynnikiem

zacieśniającym więź społeczną. Łączy i zbliża ludzi do siebie. Sprzyja bowiem wzajemnej miłości, pobudza do niej, podtrzymuje i rozpala w sercach tych, którym się ją okazuje. Doświadczenie codzienne pokazuje, że wdzięczność pobudza dobrodzieja do dalszej dobroczynności. I dlatego słuszne jest powiedzenie, że dziękowanie za otrzymane dary jest równocześnie prośbą o nowe. Brak wdzięczności natomiast zamyka serca, wiąże ręce, zniechęca do dobrego tych, którzy jeszcze nie dosyć są w dobrym ugruntowani i którzy nie są zdolni wznieść się ponad czysto przyrodzone motywy działania.

Gdy spotkamy się w życiu z niewdzięcznością, nie wolno nam zrazić się nią przy pierwszym zetknięciu. Trzeba być bardzo ostrożnym w osądzeniu jej, aby się nie pomylić i nie brać za niewdzięczność tego, co jest zwyczajną niemożliwością okazania jej. Zdarzyć się mogą wypadki że ten kto wdzięczność nazewnątrz okazał jest faktycznie niewdzięcznikiem, a ten, u którego tej wdzięczności nie widzimy w rzeczywistości on ją posiada, lecz albo brakło mu okazji okazania jej albo nie był w stanie tego uczynić.

Gdy natomiast niewdzięczność, z jaką się zetkniemy jest rzeczywista, nie należy odwracać się od niej, ale dążyć do przełamania jej dalszymi dobrodziejstwami starać się obudzić w sercu niewdzięcznym uśpione szlachetne strony natury ludzkiej. Jedynie wówczas należałoby zaprzestać darzyć niewdzięcznika dobrodziejstwami, gdyby pod ich wpływem stawał się gorszym.

Podchodźmy do bliźnich w duchu nadprzyrodzonym, widząc w nich samego Chrystusa, przyjmującego usługi oddane bliźnim, jako sobie wyświadczone, stosownie do słów, które usłyszą wybrani w dniu sądu ostatecznego: „Zaprawdę powiadam wam, coście uczynili jednemu z tych moich braci najmniejszych, mnieście uczynili“ (Mat., 25, 40). Być może ten lub ów, wskutek niewdzięczności nie jest godzien naszych dobrodziejstw, godzien jednak zawsze jest ich Chrystus, ukryty pod szatą niewdzięcznika.

Praktykujmy cnotę wdzięczności. „Bądźcie wdzięczni“ — (Kol., 3, 15) — napomina nas Apostoł narodów. Bądźmy wdzięczni pierwszemu Dobrodziejowi, Bogu, za wszystko cośmy od Niego otrzymali. „Wszystko cokolwiek czynicie w słowie lub uczynku, wszystko w imię Pana Jezusa Chrystusa czyńcie, dziękując przez niego Bogu Ojcu“ (Kolos., 3, 17). Okazujmy wdzięczność, największym po Bogu dobrodziejom, rodzicom, czcią i miłością, pomocą zewnętrzną, jeśli jej potrzebują, pamięcią o ich duszach, gdy zeszli z tego świata. Wobec poszczególnych dobrodziejów odpłacajmy się wzajemnością, zaprawiajmy do niej młodzież pouczaniem i przykładem. Wdzięczność należycie praktykowana wniesie dużo uroku do życia społecznego, czyniąc je miłym w swych formach zewnętrznych, a bogatym w swej treści.

O. MARIA-EUGENIUSZ od Dz. Jezus
Karmelita Bosy

Modlitwa według nauki św. Teresy od J.

(Duchowość Terezjańska), III)

Poznać Boga i poznać samego siebie w świetle Bożym — to jest to dwojakie poznanie, które tworzy fundament życia duchowego, kieruje jego ruchem, wyznacza jego postęp i zapewnia doskonałość.

Poprzez jakie środki ma dążyć dusza do swoich własnych głębin, aby połączyć się z Bogiem, który tam mieszka? Święta wskazuje na nie na pierwszych stronach „Twierdzy wewnętrznej".

„Wracając zatem do tej pięknej rozkosznej twierdzy, przypatrzmy się, jak i którędy możemy wejść do niej... Bramą, którą się wchodzi do tej twierdzy jest, o ile ja rzecz rozumiem, modlitwa i rozważanie" [1]).

To zdanie pozwala nam przewidzieć istotną rolę modlitwy w duchowości terezjańskiej. Najpierw określimy bliżej tę rolę, następnie podamy za Świętą definicję modlitwy i jej stopnie.

A. ROLA MODLITWY W DUCHOWOŚCI TEREZJAŃSKIEJ

„Bramą, którą się wchodzi do tej twierdzy jest... modlitwa".

Święta Teresa pisała przede wszystkim dla swych córek, które żyły według reguły karmelitańskiej danej przez św. Alberta. Reguła ta, która ujęła w formy prawne zwyczaje pustelników z Góry Karmelu, zawiera nakaz, ku któremu ciążą wszystkie inne: „rozważać prawo Pańskie we dnie i w nocy".

Nakaz prosty, jasny i bezsporny. Takie było życie pustelników na Górze Karmelu. Przybyli tam na świętą górę, by wieść życie w duchu wielkiego proroka Eliasza, którego dusza cała wypowiedziała się w tym okrzyku bojowym: „Vivit Deus in cujus conspectu sto! — Żywie Pan, w którego oblicznośći stoję" [2]).

Ten okrzyk bojowy, który stał się godłem Karmelu, stwarza główną podstawę duszy karmelitańskiej. Obecność Boża jest tym portem macierzystym, do którego musi przybić ukończywszy poszczególne zadania, jakie jej zlecone zostały. Tak czynili prorocy na pustyni i pustelnicy na górze Karmelu.

Święta Teresa odwołuje się do pokrewieństwa z nimi i chce, by łaska powołania odżyła w swej pierwotnej gorącości:

„Wszak my wszystkie, ile nas nosi ten święty habit Karmelu, wszystkie jesteśmy powołane do modlitwy i kontemplacji, to jest nasz

1) Twierdza, Mieszkanie I, r. I, n. 5.
2) III Król., XVII, 1.

początek, z tego rodu się wywodzimy od owych świętych ojców naszych z góry Karmelu, którzy w takiej głębokiej samotności, z takim wzgardzeniem wszelkimi rzeczami tego świata, szukali tego skarbu, tej drogiej perły, o której mówimy (tj. kontemplacji) [3]).

Święta Teresa, jako córka tych pustelników, ma głód i pragnienie Boga. Tęskni za milczeniem i samotnością pustyni. Nie mogąc się tam udać, stwarza ją pośród miasta zakładając reformowany klasztor św. Józefa w Avila. Będzie tam życie pustelnicze dzięki surowej klauzurze, kratom, zasłonom, dzięki malej liczbie zakonnic i przebywaniu samotnym w celach. To triumf jej geniuszu organizacyjnego, który przejawia się w urzeczywistnieniu wielkiej myśli zapomocą niewielkiej ilości szczegółów.

W tym milczeniu samotniczym dusze mogą i powinny przeżywać pierwotny ideał modlitwy ciągłej. Święta przypomina im o tym przy każdej okazji.

Od chwili rozpoczęcia życia zakonnego, mają one starać się żyć ciągle w towarzystwie dobrego Mistrza, który ich tutaj powołał. Tylko po to tutaj wstąpiły. Aby zdobyć ten nawyk, konieczny jest mniej lub więcej długi okres czasu, zależnie od łatwości, jaką da im łaska. Jakiekolwiek spotykałyby trudności, mają pracować tak długo, aż ten nawyk zdobędą.

Bez tego stałego przestawania z dobrym Jezusem, ramy pustelnicze nie będą miały sensu i utracą swego ducha. Będą tylko stwarzać nudę, albo — co gorsza — staną się schronieniem mizantropii i lenistwa.

Kiedy Święta odnajdując swoje powołanie apostolskie, zdecydowała się na zakładanie klasztoru na wzór klasztoru św. Józefa, kierowana była pragnieniem zgromadzenia dusz szlachetnych, które chcą się modlić „za tych, którzy bronią Kościoła, za kaznodziejów i uczonych teologów, którzy go podtrzymują... Po to On was tu zgromadził: to jest powołanie wasze, to ma być jedyne wasze staranie, do tego mają zmierzać wasze pragnienia, nad tym mają płynąć wasze łzy, o to błagać wasze modlitwy“ [4]).

Posłannictwem Reformy Terezjańskiej będzie modlitwa za Kościół, a równocześnie utrzymywanie wysoko ducha modlitwy i praktyczne nauczanie jej dróg.

Dla duszy karmelitańskiej zatem modlitwa nie jest tylko środkiem doskonałości, jednym z ćwiczeń życia duchowego, ale jest ona istotnym zajęciem, które powinno wypełnić cały jej dzień, które musi stać się kanwą jej życia duchowego. Jest drogą doskonałości, jaką św. Teresa

---

[3]) Twierdza, M. V, r. I, 2.

[4]) Droga doskonałości, r. I, 5.

wytycza i opisuje zbierając w jeden traktat rady, jakie dawała swoim córkom.

To droga doskonałości, jaką sama postępowała. Jej osobiste życie duchowe jest tak ściśle złączone z jej modlitwą, że jedno dzieli koleje drugiego, a ich historia razem się zlewa. Postępowała o tyle, o ile była wierna modlitwie, a okresy mniejszego zapału znaczyły się zaniedbaniami w tym ćwiczeniu. Księga jej „Życia" jest doskonałym tego świadectwem i pozostaje najlepszą praktyczną ilustracją jej nauki.

Ale czy okoliczności historyczne, które tłumaczą naukę świętej Teresy, nie czynią z niej doktryny pewnej tylko szkoły? Czyż ta konieczność modlitwy, rola, jaką się jej wyznacza, nie odpowiadają tylko pewnej szczegółowej formie życia, karmelitańskiemu pojęciu doskonałości, opartemu na modlitwie tak, jak inni opierają ją na modlitwie liturgicznej, czy na dziełach miłosierdzia?

Nie można wątpić, że nauka św. Teresy odnosi się do wszystkich chrześcijan, a przede wszystkim do dusz wewnętrznych. Czyż nie uznał tego Kościół święty, kiedy jej nadał tytuł: Mater spiritualium — Matka życia wewnętrznego?

Święta Teresa rzeczywiście stwierdza, że rozmyślanie jest zarówno konieczne jak i modlitwa ustna, od której zresztą nie umie tamtego rozdzielić.

„Chciałabym, byście były głęboko przekonane o tej prawdzie, że aby dobrze odmówić „Ojcze nasz", powinnyście trzymać się blisko Mistrza, który nas tej modlitwy nauczył. Powiecie może, że taka modlitwa to już rozmyślanie, a ty rozmyślać nie umiesz i nie chcesz, ale chcesz się tylko modlić ustnie. Nie przeczę, że sposób, który wam zalecam, jest rozmyślaniem, ale nie pojmuję także, jak może być bez niego modlitwa. Jeśli bowiem koniecznie potrzeba, byśmy modląc się pamiętały, do kogo mówimy, jak tego wymaga obowiązek nasz, jakżeż tego można dopełnić bez zastanowienia się i bez uwagi?" [5])

I więcej jeszcze. Modlitwa utożsamia się z wszelkim poruszeniem życiowym łaski w duszy naszej. Ta łaska jest łaską usynowienia. Jej ruch istotny prowadzi ku Bogu. Kiedy dusza nie może albo nie umie dokonać tego ruchu, który stanowi o właściwej modlitwie — to znak, że łaska w niej zamarła albo zamiera.

„Niedawno temu, z ust bardzo uczonego teologa słyszałam to zdanie — pisze Święta, że dusze, nie oddające się modlitwie wewnętrznej podobne są do ciała ruszonego powietrzem albo sparaliżowanego, które choć ma ręce i nogi, władać nimi nie może. Są w rzeczy samej dusze tak zniedołężniałe i tak nawykłe do obracania się wyłącznie w rzeczach zewnętrznych, iż straciły niejako wszelką możność oderwania się od

---

5) Droga, r. XXIV, 5, 6.

nich choćby na chwilę i wejście w siebie stało się dla nich prawie niepodobieństwem" [6]).

Przytoczywszy to, możemy wyliczyć kilka dobrodziejstw, jakie modlitwa przynosi duszy. Umacnia przekonania i podtrzymuje szlachetne postanowienia, by pracować i cierpieć. Jest źródłem światła i pełni — jeśli chodzi o miłość — rolę rozumu odnośnie do woli; wyprzedza miłość, kieruje nią i oświeca na każdym kroku.

A z chwilą, kiedy staje się kontemplatywną, modlitwa przekształca duszę, w myśl słów Apostoła: „z jasności w jasność jakby od Ducha Pańskiego" [7]). Mogła więc św. Teresa zakończyć:

„Jeśli tym nawet, którzy Bogu nie służą i obrażają Go, modlitwa wewnętrzna tak bardzo przystoi, tak im jest potrzebna i nikt nigdy, jeśli chce być szczerym, nie powie, by odniósł jaką szkodę z praktykowania jej, ale raczej będzie musiał przyznać, że wielką odniósł szkodę nie odprawiając jej — czemużby pytam ci, którzy służą Bogu i pragną Mu służyć, mieli ją porzucać? Tego żadną miarą zrozumieć nie mogę" [8])

Z tych rozmaitych rozważań możemy podkreślić następujące myśli:

1-o dla św. Teresy modlitwa — brama do twierdzy i droga doskonałości — nie tyle jest jakimś poszczególnym ćwiczeniem, ale raczej samym życiem duchowym. — Zespala się z nim, regulując i ujmując w ramy wszystkie inne jego składniki (umartwienia, czytania, dzieła miłości itp.). Asceza będzie kierowana przez modlitwę, a za cel będzie miała oczyścić spojrzenie wiary i zniszczyć wszystko to, co stoi na przeszkodzie jak najgłębszej zażyłości. Czytanie ma dostarczyć pożywienia modlitwie i szukać najlepszych dróg duchownych. A dzieła miłości będą owocem wylewającej się poza brzegi kontemplacji.

2-o ta droga modlitwy nie jest drogą doskonałości wyłącznie karmelitańskiej, ale drogą świetlistą i praktyczną, jaka otwiera się przed wszystkimi duszami, które pragną wniknąć w głębie zażyłości z Bogiem, choćby to nawet były dusze poświęcone dziełom apostolstwa. Święta Teresa, Mistrzyni duchowej wiedzy o modlitwie, jest nie tylko Matką Karmelu reformowanego, jest matką wszystkich dusz prowadzących życie wewnętrzne: Mater spiritualium.

Nie można modlitwie przyznawać dominującej roli w życiu duchownym, nie można jej narzucać wszystkim duszom tęskniącym za zażyłością z Bogiem, jak tylko pod warunkiem, że rozerwie się zbyt szczupłe ramy, w jakich umieszczają ją niektóre zbyt szczegółowe określenia. Postawmy więc pytanie św. Teresie, by nam odpowiedziała, co ona rozumie pod słowem „modlitwa".

---

6) Twierdza, M. I, r. I, 6.
7) II Kor., III, 18.
8) Życie, r. VIII, 8.

B. CO TO JEST MODLITWA?

W księdze swojego „Życia" odpowiedziała św. Teresa: „Modlitwa wewnętrzna nie jest to, zdaniem moim, nic innego, jeno poufne i przyjacielskie z Bogiem obcowanie i wylana po wiele razy powtarzana rozmowa z Tym, o którym wiemy, że nas miłuje" [9]).

Określenie to, powszechnie jest znane, gdyż w swojej prostocie, zadziwiająco dokładnej uwypukla główne składniki modlitwy. — Wystarczy nam tylko objaśnić te słowa.

„Modlitwa wewnętrzna jest to nic innego, jeno poufne i przyjacielskie obcowanie z Bogiem" powiada święta; jest ona zatem nawiązaniem kontaktu z Bogiem, zaktualizowaniem zjednoczenia nadprzyrodzonego, jakie łaska dokonuje między Bogiem a naszą duszą, jest wreszcie wymianą dwóch miłości: tej jaką Bóg nas darzy i tej jaką my mamy dla Niego.

Bóg jest miłością. Z miłości nas stworzył, z miłości odkupił i powołuje nas do ścisłego zjednoczenia ze Sobą. Bóg-Miłość jest obecny w naszej duszy, obecnością nadprzyrodzoną, osobową i przedmiotową. Trwa wciąż w czynnej miłości, jest ogniskiem stale promieniującym żarem, jest słońcem nie przestającym rozlewać światło, źródłem zawsze tryskającym.

By iść na spotkanie tej miłości, która jest Bogiem, mamy łaskę uświęcającą, która jest tej samej natury co i Bóg, a w konsekwencji jest miłością jak i On. Łaska ta, która nas czyni Jego dziećmi wyposaża nas zdolnością do zjednoczenia, do obcowania zażyłego z Bogiem, do wzajemnego przenikania się.

Bóg-Miłość, zawsze w działaniu, zaprasza nas i oczekuje: Ale On jest niezmiennym: zatem nasza miłość powinna dążyć ku Niemu. — Orientacja tej miłości ku Bogu, miłosne poszukiwanie, spotkanie naszej miłości z Bogiem-Miłością, obcowanie zażyle, które się wkrótce ustala: oto czym jest modlitwa według św. Teresy.

Modlitwa wymaga miłości nadprzyrodzonej, a zatem i łaski poświęcającej. Wymaga, aby ta miłość była czynna; i to działanie miłości nadprzyrodzonej wystarczy, albowiem, jak to podkreśla święta, modlitwa nie jest niczym innym jak tylko zażyłym obcowaniem z Bogiem. Miłość ta porusza się nie tylko w sferze czysto nadprzyrodzonej, przybiera ona przeróżne formy aktywności ludzkiej.

Za pośrednictwem woli, gdzie ona ma swoją siedzibę, miłość nadprzyrodzona bierze w swoją służbę wszystkie władze i wszystkie zdolności przyrodzone i posługuje się takimi, jakie znajdują się w każdym z nas. Modlitwa zatem staje się zażyłym obcowaniem żyjącego bytu jakim my jesteśmy z Bogiem żywym, który w nas mieszka.

---

9) tamże, 5.

Jeśli więc weźmiemy w rachubę władze naturalne, wówczas to zażyłe obcowanie — już zróżnicowane dzięki przeróżnym sposobom działania Bożego w każdej duszy — przybierze nową i zdumiewającą różnorodność dzięki różnicy temperamentów, rozpiętości wieku i rozwoju, aż po odmienność aktualnego usposobienia dusz, które się modlą.

W oparciu o temperament zażyłe obcowanie przybierać będzie formy rozumowe, uczuciowe lub nawet zmysłowe. Dziecko okazywać będzie swoją miłość nadprzyrodzoną do Jezusa w pocałunku, w uśmiechu przesłanym w stronę tabernakulum, w pieszczotach z Dzieciątkiem Jezus, w wyrazach smutku przed krucyfiksem. Młodzieniec wyśpiewa swoją miłość i rozwijać ją będzie posługując się wyrażeniami i obrazami, które uderzają jego wyobraźnię i zmysły, aż do chwili kiedy jego umysł bardziej rozwinięty pozwoli mu posługiwać się wielkimi myślami, które modlitwę uczynią bardziej rozumową i treściwszą.

Modlitwa zaślubi zmienne stany naszych usposobień: smutek, radość. Takie czy inne zajęcie, choroba czy zmęczenie, które paraliżują działanie lub tylko zwykłą sprawność tej czy innej władzy, zróżnicują to obcowanie, które powinno być zawsze szczere i żywe, jeśli ma być zrealizowane jego określenie, że ma to być zażyłe obcowanie.

We wszystkich tych formach, poprzez wszystkie te zmiany, obcowanie istotowo zostanie to samo. Giętka i aktywna miłość, która je ożywia, posłuży się pokolei wszystkiem: pomocami i przeszkodami, zapałem i niemocą, inteligencją i wyobraźnią, zewnętrznymi zmysłami czy czystą wiarą, by tylko dostarczyć pożywki dla jego żywotności i nowych sposobów wyrażania się. Zależnie od temperamentów, czy nawet chwilowych usposobień, będzie to obcowanie smutne lub radosne, uczuciowe albo oschłe, milczące lub wylane, aktywne albo spokojne: będzie modlitwą ustną albo spokojnym skupieniem, rozważaniem lub prostym wejrzeniem, modlitwą uczuciową lub bolesną oschłością, podniesieniem ducha albo odczuwaniem trwogi, wzniosłym entuzjazmem skąpanym w świetle lub łagodnym zmiażdżeniem w głębokiej pokorze: a wpośród tych przeróżnych sposobów modlitwy najlepszy będzie ten, który najbardziej jednoczy z Bogiem i dostarcza najwięcej pomocy do rozwoju i działania, bo koniec końcem: „miłość Boża nie zasadza się na rozpływaniu się we łzach ani na owych pociechach i rozrzewnieniach, których po większej części pragniemy i cieszymy się, gdy je mamy, ale na tym, byśmy służyli Mu w sprawiedliwości, sercem mężnym i z pokorą‘ [10]).

Niezależna od form zewnętrznych zgóry określonych, modlitwa terezjańska nie zna innych praw, jak tylko swobodne wyrażenie się dwóch miłości, które się spotykają i oddają się wzajemnie. Czy ta swo-

---

10) tamże, r. XI, 13

boda nie stawia nauki św. Teresy w sprzeczności z nauczaniem wielkich mistrzów życia duchowego? Można być przekonanym że nie.

Mistrzowie ze szkoły św. Ignacego określają, że przez działanie wyobraźni i zmysłów dusza powinna iść na spotkanie Boga i że z silnych przeżytych wrażeń pochodzą płodne postanowienia. Sulpicjanie żądają użytkowania rozważań, by dojść do tego zjednoczenia z Chrystusem, które jest prawdziwą modlitwą i za którym jako owoc winna iść skuteczna współpraca duszy z Bogiem. Pierwsi zwracają się do ogółu dusz pobożnych: drudzy zajmują się kapłanami i seminarzystami. Jedni i drudzy chcą doprowadzić swoich uczniów do obcowania z Bogiem i podają im sposób modlitwy, jaki lepiej odpowiada ich usposobieniu moralnemu i duchowemu. Stosując się do wymogów duchowych naszych czasów, współcześni mistrzowie życia duchowego skłaniają nas do tego, byśmy się poprostu zatrzymali nad jakimś czynem Jezusowym lub słowem bogatym w treść, by się znaleźć w prostym i żywym kontakcie z Jezusem Chrystusem.

W swojej definicji św. Teresa nie mówi o tych sposobach modlitwy, przekształconych w metody dostosowane do potrzeb różnych kategoryj dusz. Jej milczenie nie jest jednak lekceważeniem, a tym bardziej niewiedzą o tych rzeczach. Jej celem jest uwypuklić najważniejsze i istotne składniki modlitwy. „Modlitwa jest niczym innym jak tylko zażyłym obcowaniem“. Ta definicja, obejmująca w sobie zarówno proste odmawianie formuł znanych na pamięć, jak i zachwyty pozwalające przenikać Boże tajemnice, powszechna w swoim ujęciu, jest definicją najjaśniejszą i najpraktyczniejszą. — Jest definicją mistrzyni życia duchowego, która mówi nie tylko do pewnej kategorii dusz, ale do Kościoła całego.

Ta definicja, tak obszerna ale zarazem i tak ścisła, pragnie uszanować wszechwładną wolę Boga, jak również i wolę duszy w ich wzajemnych stosunkach. Troskę o to będzie święta podkreślać wielokrotnie. Ta wolność wydaje się jej konieczna dla rozwoju duszy i jej doskonałemu poddaniu się działaniu Bożemu. W ten sposób święta broni duszę przed wszelką tyranią, jaka zagraża od wszelkich zbyt rygorystycznych metod czy kierownictwa zbyt ciasnego. Jeśli w duszy są znaki działania Bożego, a mianowicie pokora i postęp w cnotach, nie należy się niepokoić metodami modlitwy: ma ona prawo do swobody i wszyscy powinni tę swobodę uszanować. Poufne i przyjacielskie obcowanie z Bogiem, gdzie często przestaje się z Nim sam na sam... to obcowanie z istoty już jest poufne, bo miłość wymaga poufałości.

Kontakt z Bogiem ustala się w tych sferach głębin duszy gdzie Bóg przebywa, gdzie znajduje się miłość nadprzyrodzona „rozlana w nas“. W miarę jak ta miłość będzie mocna i aktywna, obcowanie stawać się będzie częste i poufne.

Rozmyślanie jest również modlitwą osobistą. Ale nawet wtedy kiedy przyobleka formę modlitwy publicznej, której wyraz zewnętrzny wymaga zharmonizowania grupy, pozostanie jednak ona zawsze obcowaniem sam na sam z Bogiem żyjącym w każdej duszy, nie przestaje być kontaktem z Nim i zachowuje swój wyraz i cechy osobiste.

„Obcowanie przyjacielskie z Bogiem, o którym się wie, że nas miłuje" — kończy swoje określenie święta. Te słowa tak proste kryją poważne zagadnienie: a mianowicie zagadnienie natury miłości łączącej nas z Bogiem i praw, jakie nią rządzą.

Pierwsze słowa określenia „Poufne i przyjacielskie obcowanie z Bogiem" wywołuje w nas myśl czy wspomnienie poufałości uczuciowej, jaka nas łączy z ludźmi. Marzymy o podobnej poufałości z Bogiem. — Czy to jest możliwe?

Przyjacielskie obcowanie z Bogiem i związki uczuciowe z przyjacielem w równej mierze są natchnione przez miłość, ale te dwie miłości nie są tego samego wymiaru. Pierwsza jest nadprzyrodzona, druga przyrodzona. Przyjaciela, którego kochamy, widzimy, oceniamy doświadczalnie jego przymioty, odczuwamy jego uczucia względem nas i nasze względem niego. To uczucie, choćby nawet bardzo czyste, rozwija się na płaszczyźnie naturalnej i porusza nasze władze ludzkie. Boga natomiast, z którym łączy mię modlitwa, nie widzę. On jest Duchem czystym, Bytem nieskończonym, niepodpadającym pod moje ludzkie władze. Nikt go nie widział. „Syn jednorodzony, który jest na łonie Ojca, ten nam o Nim opowiedział"[11]). Miłość nadprzyrodzona łącząca mnie z Bogiem jest tej samej natury co i Bóg, a zatem tak samo niepoznawalna przez moje władze naturalne jak i Bóg sam.

Przyjacielskie obcowanie na modlitwie odbywa się między rzeczywistościami nadprzyrodzonymi, które są poza sferą poznania przez władze ludzkie. Jedynie wiara odkrywa nam te rzeczywistości, nie rozpraszając jednak tajemnic, jakie je osłaniają.

Poprzez pewność jaką daje wiara ale w ciemnościach, jakie ona pozostawia, będzie się odbywać to przyjacielskie obcowanie z Bogiem „o którym — według określenia św. Teresy — wiemy, że nas miłuje". Miłość Boga ku nam jest rzeczą pewną: wejście w kontakt z Nim przez wiarę jest również prawdą, ale nadprzyrodzone przenikanie w Boga może się dokonywać bez jakiegokolwiek światła, bez odczucia, bez jakiegokolwiek przeświadczenia o bogactwach, jakieśmy stąd zaczerpnęli.

To obcowanie przyjazne poprzez wiarę z Bogiem wzbogaca nas bez wątpienia. Bóg jest miłością zawsze rozlewną. Jak nie można zanurzyć ręki w wodzie, by się nie zamoczyć, i jak nie można włożyć jej w ognisko, by jej nie sparzyć, tak nie można nawiązać kontaktu z Bogiem po-

---

[11]) Jan, I, 18.

przez wiarę, by nie zaczerpnąć coś z Jego nieskończonych bogactw. — Biedna schorowana niewiasta, która na ulicach Kafarnaum usiłowała dotrzeć do Jezusa poprzez tłum, mówiła do siebie: „Gdybym mogła dotknąć rąbka szaty Jego, byłabym uzdrowiona“. Dotarła do Niego wreszcie i poprzez dotknięcie, które poruszyło Mistrzem, otrzymała upragnione uzdrowienie [12]). Wszelki kontakt z Bogiem poprzez wiarę ma ten sam skutek. Niezależnie od poszczególnych łask, o jakie można prosić i jakie otrzymać można, kontakt ten czerpie w Bogu powiększenie życia nadprzyrodzonego i wzrost miłości. A miłość prowadzi do modlitwy, by tam znaleźć pożywienie, rozwój i doskonałe zjednoczenie, które by zaspokoiło wszystkie jej pragnienia.

Święta Teresa od Dzieciątka Jezus napisała te słowa o modlitwie: „Dla mnie modlitwa jest uniesieniem serca, spojrzeniem ku niebu skierowanym, okrzykiem miłości i wdzięczności zarówno w cierpieniu jak i w szczęściu! Jest to coś podniosłego, nadprzyrodzonego, co rozszerza duszę i z Bogiem ją łączy. Niekiedy, podczas wielkich oschłości, gdy nie mogę się zdobyć ani na jedną myśl dobrą, odmawiam zwolna Ojcze nasz, lub Zdrowaś Maryjo; te jedynie modliwy porywają mię, karmią moją duszę i zaspokajają jej potrzeby“ [13]).

Nie można lepiej określić prostoty i głębi, żywotności i nadprzyrodzoności jakie niesie ze sobą to przyjazne obcowanie, pod przeróżnymi formami, jakie przybiera, ażeby się wzmacniać i wyrażać.

C. STOPNIE MODLITWY

Modlitwa, będąca dla świętej Teresy istotnym ćwiczeniem życia duchowego normalnie razem z tym życiem duchowym powinna rozwijać się i postępować w doskonałości. A zatem klasyfikacja modlitwy poprzez stopnie doskonałości powinna być możliwa i sama się narzuca. Ale jakżeż ocenić doskonałość modlitwy? Na jakiej podstawie ustalić tę klasyfikację? Święta Teresa pozostaje wierna swojemu określeniu, w którym twierdziła, że przyjazne obcowanie z Bogiem jest istotnym elementem modlitwy. Na podstawie jakości tego obcowania przyjaznego z Bogiem, to znaczy charakteru aktywności miłości nadprzyrodzonej jej skutków w zakresie cnót i zjednoczenia, wnioskować będzie o doskonałości samej modlitwy.

W księdze swego „Życia“ daje dobrze znany podział na stopnie modlitwy, zilustrowany wdzięcznym porównaniem do czterech sposobów podlewania ogrodu.

„Czworaki, zdaje mi się może być sposób podlewania: albo ciągnąć wodę ze studni, co jest pracą bardzo uciążliwą: albo za pomocą

---

12) Mar., V, 25—34.

13) Dzieje duszy, r. X.

„norii“ czy wodociągu, dobywając wodę przez obracanie koła; jak to sama nieraz próbowałam: — tu praca mniejsza jest od poprzedniej i więcej dostaje się wody; albo sprowadzając wodę z rzeki czy ze strumienia i ten jest sposób o wiele lepszy, bo i ziemia obficiej się wodą nasyca, nie potrzeba więc tak częstego podlewania i ogrodnik daleko mniejszą ma pracę; albo wreszcie zapomocą deszczu obfitego: wtedy Pan sam bez żadnej pracy naszej podlewa i ten sposób bez żadnego porównania przewyższa wszystkie poprzednio wymienione.

„Stosując teraz do założenia swego te cztery sposoby nawodniania potrzebnego do utrzymania ogrodu, który bez wody zwiędnąłby i zmarniał, sądzę, że za pomocą tego porównania zdołam w pewnej mierze objaśnić cztery stopnie modlitwy wewnętrznej, na których Pan w dobroci swojej różnymi czasy duszę moją stawiał“ [14]).

Święta tak objaśnia swoje porównanie: „O poczynających w modlitwie wewnętrznej można powiedzieć, że są podobni do ludzi ciągnących wodę ze studni, co jak mówiłam, wielkie im sprawia utrudzenie. Potrzeba biedzić się im ze zmysłami, aby je trzymać w skupieniu, co ponieważ zwykły błąkać się samopas, jest pracą niemałą... Tacy powinni usilnie przykładać się do rozmyślania o życiu Chrystusa Pana, a rozmyślanie to jest zawsze utrudzeniem dla umysłu... W taki sposób poczynamy ciągnąć wodę ze studni. I dałby Bóg, aby się znalazła“ [15]).

„Gdy ogrodnik zaczyna ciągnąć wodę za pomocą sztucznego przyrządu (norii) i kanału, może z mniejszą pracą sprowadzać większą ilość wody i odpocząć niekiedy, a nie ciągle się trudzić. — Ten to sposób w zastosowaniu do modlitwy tak zwanej odpocznienia chcę teraz objaśnić... Jest to wewnętrzne zebranie władz duszy, dla słodszego i z większym smakiem używania w takim skupieniu rozkoszy im zgotowanej: ale nie jest to ani zachwycenie, ani uśpienie duchowe. Sama tylko wola tu działa i sama nie wiedząc w jaki sposób pojmana zezwala tylko na to, aby Bóg ją wziął w niewolę, bo dobrze to czuje, że staje się niewolnicą Tego, którego miłuje“ [16]).

„Trzeci sposób podlewania ogrodu odbywa się za pomocą wody sprowadzonej ze strumienia albo ze źródła. Ten sposób podlewania odbywa się z daleko mniejszą pracą, choć sprowadzanie wody zawsze jest połączone z niejakim trudem. Pan w taki sposób raczy tu wspomagać ogrodnika, iż niejako sam przyjmuje obowiązek jego i sam wszystko robi za niego. Jest to niejakie uśpienie władz duszy, które choć tu nie całkiem ustają i gubią się w Bogu, tracą przecie świadomość działania swego“ [17]).

A kiedy spada czwarta woda z nieba, dusza wpośród najgłębszych i najprzyjemniejszych rozkoszy odczuwa prawie zupełnie omdlenie. Ta czwarta woda powoduje niekiedy całkowite zjednoczenie, a przynaj-

[14]) Życie, r. XI, 8. [15]) tamże, 9. [16]) tamże, r. XIV, 2. [17]) tamże, r. XVI. 1.

mniej podniesienie ducha, w którym „Pan jakoby natychmiast przyciąga duszę do siebie, podobnie jak chmury ściągają mgły i wyziewy tej ziemi — i całą ją od ziemi podnosi, w obłoku chwały swojej porywa ją z sobą aż do nieba i poczyna jej objawiać wspaniałości królestwa, które jej przygotował“ [18]).

W momencie kiedy święta Teresa pisała swoją księgę „Życia“ nie doszła jeszcze do zaślubin duchowych. Klasyfikacja stopni modlitwy jaką podaje w „Twierdzy wewnętrznej“ — a więc wtedy kiedy była w pełni swej łaski i swego doświadczenia — jest dokładniejsza i bardziej subtelna, bardziej szczegółowa i pełniejsza.

Modlitwa jest obcowaniem przyjacielskim z Bogiem. W konsekwencji jest owocem dwojakiej aktywności: miłości Boga ku duszy i nadprzyrodzonej miłości duszy ku Bogu. Dlatego św. Teresa rozróżnia dwie fazy w rozwoju tej dwojakiej aktywności.

W pierwszej fazie Bóg wyraża swoją miłość przez pomoc ogólną, czyli łaskę zwyczajną udzielaną duszy; tu dusza sama zachowuje inicjatywę i zasadniczą stronę aktywności na modlitwie. W drugiej fazie, Bóg, darząc ją na modlitwie pomocą szczególną i coraz bardziej potężną, unaocznia stopniowo swoje władanie nad duszą i doprowadza ją powoli do bierności.

Pierwsza faza, która odpowiada pierwszemu sposobowi podlewania ogrodu przez uciążliwe czerpanie wody ze studni, wyjaśniona została w pierwszych trzech mieszkaniach „Twierdzy wewnętrznej“.

Druga faza, odpowiadająca innym trzem sposobom podlewania ogrodu, obejmuje cztery pozostałe mieszkania bardziej wewnętrzne. — Modlitwa odpocznienia, uśpienie władz, niedoskonała modlitwa kontemplatywna omawiane są w czwartym mieszkaniu. Czwarty sposób podlewania ogrodu, który obejmuje całą gamę rozmaitych, coraz doskonalszych modlitw zjednoczenia, jest omówiony z wielkim staraniem i z przedziwnym bogactwem szczegółów w V, VI i VII Mieszkaniu.

Rozważając klasyfikację podaną w księdze „Życia“ można by przypuszczać, że postęp w modlitwie przejawia się w intensywności skutków widocznych i w pomniejszeniu wysiłków duszy. Czytając uważnie „Twierdzę wewnętrzną“ jasno wynika, że święta bierze pod uwagę jedynie jakość miłości i podniosłość czynów wykonywanych. Powiada, że modlitwa tym jest wyższa im większa jest miłość Boża, która ją ożywia. Jakość zaś tej miłości stwierdza się coraz większym jej wpływem na czyny ludzkie, którymi powinna kierować i poddawać je Bogu mieszkającemu w duszy. A kiedy w duszy przekształconej przez miłość, wszystkie jej energie będą stale, mężnie i podatnie czujne na delikatne poruszenia Bożego Ducha — wtedy modlitwa będzie doskonałą.

(Przekład IV rozdziału I części książki pt.: „Je veux voir Dieu“, P. Mariae-Eugene de l'Enf. J., O. C. D. — Editions du Carmel, Tarascon 1949).

Tłumaczył O. Walerian Karm., Bosy.

---

18) tamże, r. XX, 2.

Ks. M. R.

Cechy osobowości św. Teresy od Dzieciątka Jezus

Jest morze, do którego zdążają wszystkie rzeki życia i czasu; morzem tym jest ocean miłości. Zdążają ku niemu natchnienia poetów, wszelkiego rodzaju geniusz, cierpienie i życie kontemplacyjne. Sam czas jest rzeką unoszącą wszystko na swej szerokiej fali, aż pielgrzym, ponoszony na jego falach, zbliży się do Nieskończonego Morza.

Tylko miłość jest miarą pełnej osobowości, miłość oznaczająca zwycięstwo, nie tylko nad rutyną i tępotą, lecz nad życiem i śmiercią samą. W życiu św. Teresy z Lisieux wszystkie cechy prawdziwej osobowości zlewają się w życiu krótkim lecz przedziwnym, oddanym miłości. Jest rzeczą wątpliwą, czy czas wyczerpie wpływ jaki Teresa wywierać będzie na ziemię. Byli ludzie uprzedzeni do jej „dziecięctwa" jako do jakiejś naiwności i sentymentalizmu.

„Mała droga" św. Teresy ukrywa surowe oblicze jej realizmu tak istotnie chrześcijańskiego, dziecięctwa zrodzonego z inteligencji; odkrywa ta droga wszystko — krótkość życia, naszą nicość, kruchość naszej kondycji, nasze powołanie, odkrywa dziecięctwo, widzące wszystkie ziemskie rzeczy, działania i plany in conspectu Dei.

Wszystko to uderza czytelnika „Dzieje duszy", książki tak głęboko zapadającej w wolę i serce. W tym małym tomie Teresa odsłania swą duszę. Rozumiemy na jego podstawie nie tylko jej świętość, lecz jej wielostronny charakter, jej świetność, jej mądrość z bożych źródeł pochodzącą, i to szczególne posłannictwo które ma ona dla każdego z nas. Leci za mną w tej chwili ten śliczny hołd jednego z najświetniejszych prawników chińskich Dr J. Wu, nawróconego na katolicyzm pod wpływem św. Teresy. Do roku 1941 Dr J. Wu zajmował w administracji państwowej stanowisko tak wysokie i praktyczne, że nie podobna pomawiać go o niepraktyczny idealizm.

W małej książeczce o św. Teresie porównuje on najgłębsze filozofie Chin, Lao-Tse i Konfucjusza z uwagami św. Teresy, i znajduje w jej nauce dopełnienie i wypełnienie najgłębszego mistycyzmu Wschodu.

„Dla mnie, pisze Dr Wu, św. Teresa jest tak znaczącą w życiu duchowym naszego wieku, bo jest świętą w pełni świadomą swych stanów umysłowych. Jest uroczo subtelna i subtelnie urocza. Jest szczerze szlachetna i szlachetnie szczera, i jest święta. Jest tak skomplikowana jak prosta; jest delikatnie odważna i odważnie delikatna. Ma głowę czarodziejki, a serce anioła. Jest giętka jak woda, i zapalczywa jak ogień. Jest gieniuszem umiejącym pięknie ukryć swój geniusz. Ostra jak miecz

obosieczny, lecz miecz swój trzyma zawsze w pochwie. Była dzieckiem rozwiniętym przedwcześnie, lecz ukrywała swą dojrzałość przedwczesną pozostając zawsze jak ukryty kiełek nie wynurzający się do wczesnego dojrzewania. Nawet teraz gdy stała się dziwem świata, jest wciąż ukrytym kiełkiem serca; w rzeczach duchowych, jak wiadomo, szczere usposobienie serca jest wszystkim co ma wartość. Zdaje się, że teraz bardziej niż kiedykolwiek urzeczywistnia prawdę swych słów: „To Jezus czyni wszystko... ja nic".

Była ostatnim z dziesięciorga dzieci Ludwika i Zelii Martin'ów. — Fizycznie dorodna, obdarzona przedwcześnie rozwiniętą inteligencją, wysoką intuicją i wrażliwością. Łączyła wysokie cechy prawdziwej osobowości. Posiadała nie tylko instynkt poetycki, lecz dar obserwacji i wypowiadania się, co przysługuje prawdziwemu artyście. Nie była poetką w sensie biegłości technicznej, lecz była poetą i artystą w najprawdziwszym i najgłębszym znaczeniu tego słowa.

Jej „Mała droga" kryła w sobie życie stałej ofiary i zaparcia. Pełna cierpienia, okazywała bezcenny spokój duszy charakteryzujący życie tych, którzy nie tylko uznają krzyż Chrystusa z daleka, lecz sami się nań wspinają. Mówiąc o swym życiu, powiedziała raz o goryczy jaka musi napełniać życie prawdziwych miłośników Chrystusa: „Gorycz tak, ale mimo to życie moje nie było smutne, bo nauczyłam się znajdować radość i słodycz we wszystkim, co jest gorzkie".

Choć prawdą jest, że wlane łaski życia mistycznego dane są ludziom wszelkich typów, to prawdą jest również, że pewni ludzie są jakby z usposobienia dysponowani do kontemplacji. Teresa Martin, jako mała dziewczynka, kochała głęboko naturę, i z przyjemnością opowiada w swej autobiografii jak to ukochany jej ojciec zabierał ją na łowienie ryb. Ta naturalna wyobrażeniowa kontemplacja jest w niej nasycona wizją nadprzyrodzoną; mając lat siedem Teresa wie, że ziemia jest tylko miejscem wygnania.

Teresa ma trudności w studium systematycznym, zwłaszcza pamięciowym. „Zrobiłam znaczny postęp w nauce, pisze, i pamiętałam łatwo znaczenie tego co czytałam, ale uczenie się na pamięć sprawiało mi trudności; tylko w katechiźmie wysiłki moje pod tym względem były pomyślne".

Po śmierci matki, Paulina, starsza siostra Teresy stala się dla niej matką, tą „małą matką", której Teresa dedykuje autobiografię. Paulina miała pierwsza wstąpić do Karmelu w Lisieux. Teresa opisuje to drugie wielkie załamanie w życiu swojej rodziny. Tęskni bardzo za Pauliną i w parę miesięcy po jej obłóczynach ciężko zapada na zdrowiu. — W czasie tej choroby otrzymuje jedną z owych nadzwyczajnych łask, które odbierać będzie w późniejszym życiu. Owe „negatywne cechy" jej duchowości o których wspomnieliśmy, to brak nadzwyczajnych

umartwień, wyszukanej metody w modlitwie, brak naturalnych łask nadzwyczajnych, a nacisk na pierwszeństwo kontemplacji i modlitwy przed różnorakim działaniem.

Nadzwyczajnym wydarzeniem opisanym w autobiografii jest cudowne uleczenie przez Matkę Bożą. Wstąpienie Pauliny do Karmelu tuż po śmierci matki, napełniło Teresę obawami i trwogą. Opadła ją gorączka trwająca wiele dni. Po ludzku mówiąc nie było nadziei na jej życie. Cudowne jej uleczenie znamy z autobiografii. Teresa była naprawdę uleczona. Pod wpływem uśmiechu Matki Bożej zmieniła się jej twarz, a obecne przy tym siostry nigdy nie wątpiły w autentyczność wizji. Był to jednak poza jednym wyjątkiem, wizji ojca, jedyny nadzwyczajny wypadek w jej krótkim życiu. Teresa miała wówczas lat dziesięć.

Pięć lat później rozpoczynają się jej zabiegi o przyjęcie do Karmelu. Powołanie młodego dziewczęcia do jednego z najsurowszych zakonów, jest samo w sobie prawie cudem. — Trzydziestego pierwszego października r. 1887 Teresa udaje się z ojcem do biskupa w Bayeux. — Zapytana przezeń czy dawno żywi chęć wstąpienia do Karmelu odpowiada: „Bardzo dawno". — No, chyba nie lat piętnaście", powiedział biskup, śmiejąc się. „Ale nie wiele mniej, odpowiedziała Teresa, bo pragnęłam tego mając trzy lata".

Ojciec wziął stronę córki oświadczając, że są w drodze do Rzymu, i jeśli nie otrzymają zezwolenia władzy zakonnej, zwrócą się do papieża.

W Rzymie Teresa spędziła z ojcem sześć dni na zwiedzaniu miasta, a siódmego dnia uzyskali oboje audiencję u Leona XIII. „Ojcze Święty, powiedziała Teresa, z okazji twego jubileuszu pozwól mi wstąpić do Karmelu w wieku lat piętnastu... Jeśli powiesz tylko „tak" — władza zakonna się zgodzi"... Papież spojrzał na nią przenikliwie, i powiedział po chwili wyraźnie, podkreślając każdą sylabę: „Dobrze, wstąpisz, jeśli taką będzie wola boża".

W cztery miesiące później Teresa została przyjęta do Karmelu. — Miała lat piętnaście. W dziewięć miesięcy potem, dziesiątego stycznia r. 1899 odbyły się obłóczyny, a następnie po roku, i ośmiu miesiącach profesja i przyjęcie welonu. W ten sposób skończyła się jej krótka kariera od strony świata. Lecz cud jej życia wewnętrznego i wzrostu nadprzyrodzonej miłości, trwał do końca.

„Gdy pod koniec tego wspaniałego dnia, opowiada o swej profesji, złożyłam swój wieniec z róż u stóp Matki Bożej, uczyniłam to bez żalu; czułam, że czas nie zabierze mi nigdy mego szczęścia".

Rzeczywiście sam Bóg dopełnił tego przetworzenia w jej duszy, które zaczęło się gdy była małym dzieckiem. Teresa prosi tego dnia: „O Jezu, proszę Cię o pokój... pokój, a nade wszystko o Miłość... miłość bez granic"...

Ta pieśń niebieskiej miłości przenika całe dzieło Teresy. Nie zaniedbała ona jednak ani swych wrodzonych uzdolnień, ani sposobności czynienia dobrze duszom. Jej sztuka była sztuką Ducha Św., którego dary otrzymała w mierze niezwykłej. W późniejszych latach korzystając z tych darów namalowała w klasztorze kilka obrazów, wykazujących niepospolity talent jak na osobę bez formalnej szkoły technicznej. Widać to również w jej poezjach i w „Dziejach duszy".

Poematy jej zawierają bogatą myśl, może uczuciowe, lecz naładowane tą dziwną tęsknotą do nieba i natchnieniem nieopisanej miłości niebiańskiej. W niektórych z nich jest coś niewypowiedzianie przykuwającego, choć z literackiego punktu widzenia są może niedbałe czy banalne. Lecz myśli, które je natchnęły są kryształowo czyste, a sama poezja bierze coś z tego zaświatowego ognia, który płonął przy ich pisaniu w sercu tego dziewczęcia. We wszystkich poematach wraca refren miłości.

Najbardziej niezwykłym rysem Teresy jest napisanie swej autobiografii, o której powstaniu mamy na szczęście wiele szczegółów. W tym czasie Teresa zrobiła tak znaczny postęp w miłości bożej, że przełożona, której często otwierała swe serce, dobrze wiedziała, jaki skarb kryje się pod dachem klasztoru.

Powiedzieliśmy już, że Teresa miała nieprzeciętną inteligencję. Jej zdolność obserwacji, głęboki i spokojny sposób zapamiętywania i widzenia rzeczy, przydały się jej, gdy miała zabrać się do napisania dziejów swego życia. Od dzieciństwa była naturą głęboko kontemplacyjną. Natura taka łączy w sobie pierwsze dwa stopnie dojrzałej osobowości — żywe odczucie piękna i tajemnicy świata, oraz poczucie obowiązku należytej odpowiedzi na głębokie wartości.

Teresa miała te dwa dary w wysokim stopniu. Matka Agnieszka, siostra Teresy, stwierdziła w czasie badań kanonizacyjnych, że w autobiografii Teresy nie ma niczego, czego by nie znała lub słyszała w ich wspólnych intymnych rozmowach. „To, co mi napisała o swych uczuciach w dniu pierwszej Komunii św., jest dokładnie napisane w autobiografii".

Ani zakonnice, które wpłynęły na napisanie autobiografii, ani sama Teresa nie myślały, że dzieło to będzie publikowane. Teresa zabrała się do pracy bezzwłocznie. Pisała w zwykłym zeszycie szkolnym, zwyczajnym pismem uczennicy, wykazującym zresztą całkowite opanowanie siebie. Mogła pisać tylko w wolnych chwilach, których reguła Karmelu niewiele dawała. Nie planowała, nie szkicowała. Jednego tylko „preliminarza" nie zaniedbała. Opowiada o nim na pierwszej stronie „Dziejów duszy".

„Nim zabrałam się do pracy, klęknęłam przed statuą Matki Bożej, która dała tyle dowodów miłościwej troski naszej Matki Niebieskiej.

Klęknąwszy, prosiłam, aby kierowała mą ręką tak, by znalazło się tu tylko to, co Jej się podoba. Potem otworzywszy Ewangelię, ujrzałam te słowa: „Jezus wchodząc na górę zabrał z sobą tylko tych, których chciał“ (Mar. III, 13). Słowa te rzuciły jasne światło na tajemnicę mego powołania i całego mego życia, a przede wszystkim na łaski, jakich udzielił mi Chrystus“.

Tak się zaczyna opowiadanie, które czaruje miliony czytelników, książka, która przenika duszę i ją przekształca. W kilka tygodni po skończeniu ośmiu jej rozdziałów, 3 kwietnia 1896 r., w Wielki Czwartek, zjawiła się po raz pierwszy tuberkuloza, która miała strawić Teresę. Teresa zakaszlała krwią pierwszy raz tego właśnie dnia. Na początku 1897 r. było jasne, że dni jej są policzone.

Nowa przełożona, matka Gonzaga, dowiedziawszy się o manuskrypcie, poleciła Teresie uzupełnić pamiętniki i napisać o swym życiu religijnym, co według praktyki Karmelu zostaje tajemnicą między Bogiem i duszą.

W lipcu roku 1897 Teresa ukończyła rozdział 9-ty i 10-ty, lecz była już tak słaba, że ledwie mogła utrzymać pióro. Rozdziały te są wzniosłym sprawozdaniem jej przeżycia „Ciemnej nocy duszy“, straszliwych biernych oczyszczeń wiary, nadziei i miłości inicjowanych tylko przez Boga, a przez które przechodzą dusze wyjątkowe.

Wszystkie części rękopisu były pisane pospiesznie, bez rewizji, bez numerowania stronic i rozdziałów.

Wróćmy jeszcze do owego Wielkiego Czwartku roku 1896, do dnia, w którym Teresa odkryła swoją chorobę.

„Nie otrzymawszy pozwolenia na adorację nocną, wróciłam do celi o północy. Ledwie położyłam głowę na poduszkę, poczułam na ustach ciepły strumień; sądziłam, że umieram, serce pękało mi niemal z radości. Zgasiłam już lampę, więc umartwiłam swą ciekawość do rana, i spokojnie już zasnęłam“.

Zwróćmy uwagę na implikacje heroicznej odwagi widocznej w tym krótkim opisie. Większość z nas przeraziłaby się, czując „ciepły strumień“ na ustach. Teresie „serce niemal pękało z radości na myśl, że umiera...“ Cóż to za dzeicko, które cieszy się na myśl o śmierci, tak jak święty Franciszek witał „siostrę śmierć“, i które tak triumfowało nad ciekawością, że mogła „umartwić swą ciekawość do rana, i spokojnie zasnąć?... Sprawa śmierci podnieca człowieka bardziej, niż cokolwiek innego. Kiedy umrę? Posmakowałem teraz krwi na swych wargach, otrzymałem pierwszy sygnał nadchodzącej śmierci. Obok mnie lampa. Czemu jej nie zapalić i nie zobaczyć? Zamiast tego „umartwię swą ciekawość do rana i spokojnie zasnę“.

„O piątej, czas na wstanie, przypomniało mi się od razu, że mam pewne dobre wieści; poszedłszy do okna stwierdziłam, że, jak się tego

spodziewałam, chusteczka była nasycona krwią. Jakaż nadzieja wypełniła mi serce! Byłam mocno przekonana, że w rocznicę Swej śmierci Chrystus pozwolił mi usłyszeć Swe pierwsze wezwanie, jak nadchodzący z daleka słodki szmer, zwiastujący Jego radosne nadejście".

W przyjęciu tej „dobrej nowiny" nie ma ani fanatyzmu, ani stoicyzmu. Trudno o słowa na opis nadzwyczajnej miłości tego dziewczęcia, witającego pierwsze wezwanie Umiłowanego, jak słodki, daleki szept, zwiastujący Jego radosne nadejście.

Co było tajemnicą tej jej wzniosłej miłości ku Chrystusowi? W swym studium „O humaniźmie św. Jana od Krzyża" ks. K. Wojtyła zwraca uwagę na jeden ważny szczegół: „Nadprzyrodzone życie duszy domaga się pewnej próby psychologicznej, pewnego wyłączenia tego, co ściśle przyrodzone bądź w dziedzinie poznawczej, bądź w sferze dążeń i pożądań. Kształtuje się więc w pewnej specyficznej głębi, w której człowieczeństwo przez łaskę dopełnia się uczestnictwem w naturze bożej. W ten sposób nadprzyrodzone życie w człowieku powoli dorasta do swej pełni doświadczalnej. Dorasta zaś z ogromnym trudem. Jest to trud, w którym człowiek ciągle przechodzi siebie, aby uchwycić, zatrzymać, zaktualizować głębiej tę postać życia, której chociaż w nim jest i w nim się staje, niemniej z natury nie jest jego własnością, ale darem" (Znak, Nr 27).

Św. Teresa opuściła siebie całkowicie dla swego Boskiego Umiłowanego; przywiązując się doń coraz bardziej, odrywała się coraz więcej od wszystkiego innego. Od wczesnego dzieciństwa miała głębokie odczucie pustki rzeczy przemijających. Dziewczęciem jeszcze będąc, Chrystusowi tylko otworzyła serce. On był jej jedynym przyjacielem. W autobiografii swej komentuje wiersz przytaczany często przez swego ojca: „Czas jest twą barką, a nie domem".

Teresa wiedziała, że miała umrzeć młodo! Świadomość ta, jak widzieliśmy, podnosiła ją. Ukrywała swe cierpienie fizyczne. Przełożona przywykła widzieć ją uśmiechniętą i cierpiącą, lecz zawsze dzielną, pozwoliła jej uczestniczyć w niektórych nader męczących ćwiczeniach.

W zakonach kontemplacyjnych nikt się nie pieści. „Gdy mi okazują współczucie, pisze Teresa, już nie jestem szczęśliwa". Nie mówiła nikomu o krwotoku, prócz przełożonej. Nie wspomniała o tym nawet swej siostrze.

Zimy były mroźne, a Teresa zajmowała celę w pewnej odległości od sióstr. Choroba uwrażliwiła ją na zimno. Dodajmy wczesne Oficium po północy, długie klęczenia, a będziemy mieli pewne pojęcie o jej milczącym i heroicznym męczeństwie.

Do męki ciała dołączyły się cierpienia, wynikające z jej wrażliwego usposobienia. Pobyt w Karmelu czterech sióstr rodzonych na 23 zakonnice budził u innych uprzedzenia i zazdrostki tak właściwe naturze

ludzkiej. Życie zakonne to nie życie rodzinne. Uczucia naturalne stanowią tu największą próbę. W tym znaczeniu powiedziała raz przełożona: „siostra Teresa jest doskonała, ma tylko jedną wadę, ma trzy siostry w klasztorze".

Teresa skrupulatnie i ofiarnie wyróżniała jednak uczucia rodzinne i zakonne. Pamiętała słowa Chrystusa o tych, którzy opuścili dlań dom, ojca, matkę, brata i siostrę. Teresa i Agnieszka zachowywały zawsze ściśle delikatną więź zakonnicy z zakonnicą.

Łatwo jest przeoczyć rzetelną cnotę, gdy ukrywa się pod czarującą prostotą. Największą sztuką, pisze Dr J. Wu — jest ukryć sztukę. Dotyczy to i sztuki życia. Teresa tak pisze o krzyżu, nałożonym na nią przez życie zakonne w sferze uczuć naturalnych dla sióstr: „Powściąganie uczucia naturalnego dawało pole do wielkiego cierpienia". A nieco dalej: „Serce oddane Bogu, niczego nie traci z uczucia naturalnego; przeciwnie, staje się ono silniejsze, stając czystsze i bardziej duchowe".

To doskonałe opanowanie siebie jest jedną z cnót do zdobycia najtrudniejszych. Jest ono syntezą roztropności, łagodności i cierpliwości, jednego z owoców darów Ducha Św. Pochodzi ono z pokory i zapomnienia o sobie. Z wielką słusznością pisał św. Jan od Krzyża: „Wszystkie dobre rzeczy przyszły do mnie, odkąd nie szukałem ich dla siebie". W autobiografii Teresy jest wiele miejsc ukazujących, jak rozwinęła ona ducha absolutnego braku egoizmu. Ale zwycięstwo, nawet i w jej wypadku, przyszło nie od razu. Ćwiczyła się zwracając na równi uwagę na małe rzeczy, jak na duże.

W każdym człowieku tkwią irracjonalne antypatie. Będąc usposobienia nader wrażliwego Teresa była stale wystawiona na tego rodzaju pokusy. Lecz pokonała wszystkie. Znamy incydent z siostrą, której osobliwie nie znosiła. Zachowywała się wobec niej tak, że siostra owa raz zawołała: „siostro Tereso, powiedz, co cię tak do mnie pociąga? Nie mogę przejść koło ciebie, byś się do mnie mile nie uśmiechnęła?" — W autobiografii wyjaśnia Teresa matce Gonzadze: „Jestem tylko bardzo małą duszą, mogącą ofiarować Bogu tylko bardzo małe rzeczy. Zdarza się jednak, że często tracę sposobność przyjęcia tych małych ofiar przynoszących tak wiele pokoju; lecz nie zniechęcam się i usiłuję być czujniejszą w przyszłości".

Słowa te zdają się wyjaśniać to, co mówi św. Jan od Krzyża, że trzeba zachować pokój wewnętrzny, i nie dopuszczać, aby wewnętrzne i zewnętrzne namiętności zniszczyły pokój w głębi duszy. „W Drodze na Górę Karmel" — tak pisze św. Jan: „Niech dusza zostanie odosobniona, bez niepokojów i zamieszania, a On, który wszedł w postaci cielesnej do swych uczniów przy drzwiach zamkniętych, dając im pokój, choć nie wiedzieli czy i jak to możliwe, wstąpi duchowo w duszę, choć nie wie ona jak On to uczyni, gdy drzwi jej władz, pamięć, rozum i wola — są opasane przeciw wszelkim myślom".

W następnym rozdziale ostrzega św. Jan przed rozterkami wskutek lęku o przyszłość, przeszłość, i obecnymi kłopotami. Uwagi jego przywodzą na myśl trzeci typ cierpienia, który Teresa przeżyła z czarującą prostotą, ale i z heroiczną odwagą — męczeństwem duszy.

Najpierw pewne przypomnienie. Szukając doskonałości człowiek nie szuka moralnego doskonalenia siebie jako takiego, ale ścisłej unii z Bogiem, Stwórcą i Odkupicielem. Potrzebne są do tego dwa stadia przygotowawcze. Pierwsze to samorzutny wysiłek do wyzbycia się wad, zdobycia cnoty, nawyku modlitwy i wypełnienia obowiązków życiowych. Jest to czynny okres oczyszczenia z niedoskonałości. Drugi etap przygotowawczy, następujący z reguły po pierwszym, jest biernym oczyszczeniem duszy, dokonanym przez Boga. Oczyszczenie bierne można by z grubsza podzielić na dwie kategorie: oczyszczenie zmysłowej części duszy i jej władz, oraz oczyszczenie ducha, sławna „Ciemna Noc Zmysłów" i „Ciemna Noc Ducha" w języku św. Jana od Krzyża.

Teresa przebyła kolejno oczyszczenia: czynne i bierne; często zachodzą one jednocześnie, lub oddzielone długim okresem czasu. Wielcy Doktorowie Mistyki rozdzielają te okresy logiczne dla celów teoretycznych.

Teresa oczyszcza się z błędów mając lat trzy, przez małe ofiary i złożenie Bogu swego życia. Poprzez wszystkie próby i cierpienia, Boskie Słońce, używając znowu słów św. Jana, świeci stale, ogrzewając czasem serce boskimi promieniami, czasem zsyłając pociechy duchowe, to znów ukrywając się, aby człowiek mógł widzieć jak mało umie zostawiony sobie samemu, jak mała jest jego naturalna miłość. W tym męczeństwie duszy prowadzi Duch Św. człowieka poprzez mroki nocy wiary, próbuje miłość, wiarę i nadzieję. Teresa i tu pozwoliła się prowadzić boskiej miłości, jak Chrystus idący na Kalwarię. Pisze o tym w rozdz. zatytułowanym „Noc duszy". Sięga do Pisma św., aby znaleźć wskazanie tego upragnionego życia i znajduje je: „Ktokolwiek jest mały, niech do Mnie przyjdzie" (Przysł. IX, 4).

„O Jezu! Ramiona Twoje są dźwignią, która musi podnieść mię ku niebu! Aby tam dotrzeć, nie potrzebuję stać się wielką; przeciwnie, muszę pozostać małą, muszę stać się mniejszą, niż jestem"...

Jest tu niewinność i prostota dziecięca, jest dziecięca czystość spojrzenia, przenikliwa i pełna intuicji, połączona z zupełną roztropnością doświadczenia i wieku. W tej małej świętej, tak wspaniale mądrej i tak mądrze wspaniałej, mamy uosobienie drogi ukazanej przez samego Chrystusa: „Zaprawdę mówię wam, jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie się jako dzieci, nie wnijdziecie do Królestwa Niebieskiego". (Mat. XVIII, 3). Dziecięctwo duchowe jest całkowitym powierzeniem się Bogu, wynikającym z pełnej ufności w Bogu. Droga ta nie ma nic

z zarozumiałości, mniemania, że można własnymi siłami naturalnymi osiągnąć cel nadnaturalny.

Ta nowa droga jest w rzeczywistości dawną drogą osiągania Mądrości, o którą prosił Salomon. Jest ona uwierzytelnieniem słów Chrystusa, że objawi Swą naukę nie mądrym i roztropnym, lecz maluczkim — (Mat., XI, 25).

Ponieważ Teresa była pokorna, mała i uśmiechnięta wśród cierpień, dał jej Bóg największy z darów — Dar Miłości. Dar ten jest kluczem do wszystkich innych darów nadprzyrodzonych i tłumaczy pozorne antynomie jej życia.

Umarła 30 września 1897 roku. O wpół do trzeciej po południu podniosła się na łóżku, czego uczynić nie mogła od tygodnia i zawołała: Matko, kielich jest przepełniony. Nie mogłabym uwierzyć, że można tak bardzo cierpieć. Mogę to tylko wyjaśnić mym wielkim pragnieniom zbawiania dusz... Boże mój, bądź wola Twoja, zlituj się nade mną. Słodka Panno Maryjo, przybądź mi na pomoc". Nieco później dodała: „Wszystko, co napisałam o swym pragnieniu cierpienia, jest naprawdę miłością. Nie żałuję poddania się miłości". O wpół do czwartej zebrały się wokół niej siostry. Zjawiły się oznaki nadchodzącej agonii. Podziękowała im „słodkim uśmiechem" i ścisnęła krzyż w słabnących rękach. Ale dopiero kilka minut po siódmej zbliżał się rzeczywiście koniec. W owej chwili Teresa spytała przełożonej: Matko, czy to nie agonia? Czy ja nie umieram? „Tak, moje dziecko, to agonia ale być może, że Jezus chce ją przedłużyć". — „Więc bardzo dobrze... bardzo dobrze. Niech tak będzie. Ach, nie chcę mniej cierpieć". Patrząc na krucyfiks, zawołała: kocham Go... Mój Boże... Kocham Cię".

To były jej ostatnie słowa. Umarła piętnaście minut po siódmej. Miała lat 24.

Św. Teresa ukazuje dzisiejszemu światu nową drogę świętości. Połączyła w sobie geniusz intuicji naturalnej, instynktu poetyckiego, miłości natury i piękna ziemskiego, z całym bogactwem życia nadprzyrodzonego, do którego była powołana, a w którym wszystkie te dary w pełni wyzyskała. Zogniskowała się w niej tęsknota poetów i artystów, tęsknota którą w całości zwróciła do Chrystusa. „A cóż to jest życie czy śmierć? Moją jedyną radością jest kochać Ciebie. Ja, mała, będę rzucać kwiaty, aby pachniały przed Twoim tronem. Będę śpiewać w srebrnych tonach pieśń Miłości. Krótkie moje życie przeżyję na Twych oczach, o Umiłowany. Rzucać kwiaty, to jedyny sposób poświadczenia mej miłości, a kwiatami tymi będzie każde słowo i spojrzenie, każda mała, codzienna ofiara. Chcę wykorzystać najmniejszą czynność i wykonać je wszystkie dla Miłości. Dla Miłości chcę cierpieć i cieszyć się: tak, będę rzucać kwiaty. Choćby róże moje były wybierane spośród cierni, będę śpiewać, a im dłuższe i ostrzejsze ciernie, tym słodszy będzie mój śpiew".

Św. Teresa łączy w swej małej osobie sztukę i wiedzę miłości.

S. Leonia Niepokalanka

„IGNIS ARDENS"

Tym mianem „ognia gorejącego" obdarzył Piusa X Malachiasz, Mnich irlandzki z XII wieku w swym legendarnym proroctwie o papieżach. I dziwnie trafnie go określił: Pius X płonął bowiem czystym żarem miłości Bożej, która zawiodła go tak szybko, bo w 37 lat po śmierci, na ołtarze. Został nie tylko papieżem świętym, ale „papieżem świętości", jeżeli tak rzec można, w tym znaczeniu, że szeroko otworzył duszom ludzkim źródło świętości spływające na ziemię i dostarczające spragnionym Boga niewyczerpanych zasobów Łaski i mocy w Sakramentach św.

Dwa bowiem najpamiętniejsze dekrety tego papieża tyczą się Najśw. Sakramentu, źródła świętości duchowej, to też Piusa X słusznie też nazwano papieżem Eucharystii". Pierwszy jego dekret wydany w 1905 [1]) roku wzywający wiernych do częstej a nawet codziennej Komunii św. nie wnosił istotnej nowości, był jedynie nawrotem do starożytnej pierwotnej tradycji, skażonej w ciągu wieków rozlicznymi błędami, a zwłaszcza Jansenizmem. Ta ponura herezja głosiła bowiem zasadę pozornie pokorną, a z gruntu fałszywą, że, aby przystępować do Komuniii św., trzeba być godnym, trzeba na nią zasłużyć sobie życiem cnotliwym, że jest ona nagrodą za zasługi zdobyte, a zatem powinno się ją przyjmować jak najrzadziej. Oddalając więc wiernych od Sakramentu Ołtarza tym samym Jansenizm wyziębił dusze, wprowadził zamęt, niepokój i skrupuły w sumienia, zamknął dostęp do krynicy łask.

Pius X opierając się na orzeczeniach Soboru Trydenckiego i na praktyce Kościoła z czasów apostolskich przypomniał światu, że koniecznym i niezbędnym warunkiem do przystępowania do Komunii św. jest stan łaski i czysta intencja podobania się Bogu. Chleb Anielski nie jest bynajmniej nagrodą za cnotę i nie w tym celu został ustanowiony przez Chrystusa Pana, ale jest lekarstwem na nędze i słabości ludzkie, jest ośrodkiem mocy i bronią w walce człowieka z jego namiętnościami i wadami nieodłącznymi od zepsutej ludzkiej natury. Celem jego jest doprowadzać dusze do świętości przez zjednoczenie z Bogiem w miłości, wedle słów Chrystusa Pana: „Kto pożywa Ciało moje i pije moją Krew, we Mnie mieszka, a ja w nim". Dokonywa się przezeń w duszy owo przetworzenie się wewnętrzne, zawiązuje się owa ścisła wspólnota z Bogiem, przebóstwienie słabego człowieka i podniesienie go na Boże wyżyny.

Tłumaczy więc papież, że chociaż jest rzeczą chwalebną i godną uznania przyjmować Eucharystię z sumieniem wolnym od grzechu powszedniego, a w każdym razie bez przywiązania do niego i z mocnym postanowieniem

[1]) „Sacra Tridentina Synodus", 20. XII, 1905 r.

unikania go w przyszłości, to zasadniczym i nieodzownym warunkiem do godnego przyjęcia Komunii św. jest być wolnym od grzechu ciężkiego, który zrywa przyjaźń między duszą a Bogiem i jest tamą nie do przebycia dla napływu łaski.

O ile ów dekret został przyjęty z radością i zapałem przez wiernych, o tyle dekret o Komunii św. dzieci [2]) napotkał na ostry sprzeciw nawet w kołach katolickich. Twierdzono, że dziecko w siódmym roku życia nie docenia łaski Sakramentu, że on „nie robi na nim wrażenia", że w krajach północnych dzieci później się rozwijają, a zatem odnosi się on tylko do krajów południowych, i tym podobne wysuwano zastrzeżenia. Życie jednak wykazało słuszność i mądrość zarządzeń papieskich. Piusowi X chodziło o to, by z chwilą kiedy w dziecku budzi się świadomość dobrego i złego, gdy potrafi rozróżnić Chleb Eucharystyczny od chleba zwykłego, by odtąd zaczęło się nim karmić i tym samym mogło uzbroić duszę do walki z grzechem, by Komunia św. stała się dlań siłą, tarczą i obroną przed pokusami, lekarstwem przeciw budzącym się namiętnościom i pożądliwościom zepsutej natury.

Wołanie Jezusowe: „Dopuście dziateczkom przyjść do Mnie!" — powtórzone przez papieża nie pozostało bez echa, ale rozeszło się aż do najdalszych krańców ziemi. Szeregi malutkich z zapałem garnęły się do Chrystusa, który dawał im Ciało swe za pokarm. Owocem tego dekretu było żniwo świętości wśród dzieci. Początek XX-go wieku wydał zastępy niewinnych duszyczek, które odznaczyły się nieraz heroizmem w pełnieniu cnót, heroizmem oczywiście zastosowanym od młodego wieku i słabych sil dziecięcych, że wymienimy tylko czteroletnią Nelly, Livietta, Annę de Guignè, Witusia z Fontgalland, a w Polsce Lenkę Dąbrowską, Henia Żuchniewskiego, Maciusia Romera i tylu innych. Zasileni od maleńkości Chlebem Anielskim znaleźli oni w sobie dość siły, by zwyciężyć oporną naturę i dążyć zdecydowanie do świętości. Po wydaniu dekretu i jego błogosławionych skutkach można było nieraz widzieć wspaniałe, purpurowym adamaszkiem obite sale audiencjalne na Watykanie, zapełnione tłumem biało odzianych dzieci, które przychodziły dziękować Papieżowi w dzień I-szej Komunii św. za dopuszczenie ich w tak wczesnym wieku do stołu Pańskiego. Mnożyły się też ich listy dziękczynne pod adresem samego Papieża, na które on sam często po ojcowsku własnoręcznie odpisywał.

Celem całego życia Piusa X było zrealizowanie hasła, które sobie obrał na wstępie do swoich rządów: „Instaurare omnia in Christo" — Odnowić wszystko w Chrystusie. Owa duchowa reforma społeczeństw była możliwa w jego oczach wyłącznie przez Eucharystię. Toteż uważając ją za „jedyną drogę do Boga", gorąco popierał wszelkie poczynania zmierzające do rozbudzenia u wiernych nabożeństwa do Najśw. Sakramentu.

---

[2]) „Quam singulari", 8. VIII. 1910 r.

Ojcowska pieczołowitość świętego Papieża obejmowała w szczególny sposób ową trzódkę wybraną w owczarni Chrystusowej, t. j. duchowiestwo. Pius X dbał specjalnie o seminaria duchowne, i zalecał biskupom kontrolę nad nimi, również częstą wizytację swojej diecezji. Troszczył się o cnotę i wykształcenie kleryków, a przede wszystkim o surową wśród nich selekcję, zdając sobie sprawę, że nie liczba ich stanowi i wspiera Kościół, ale osobista wartość i godność wybranych na służbę ołtarza. W swej pierwszej encyklice do biskupów mówi Pius X: „Wychowujmy kapłanów w świętym życiu, dawajmy im pokarm czystej doktryny, a lud wzrastać będzie w Chrysusie“ [1]).

Rozumiał święty Papież, że od duchowego i intelektualnego poziomu kleru w dużej mierze zależy też poziom moralny powierzonych mu owieczek. Od niego bowiem idzie bodziec, przykład, światło, pouczenie, kierunek, zachęta i pomoc w wykonaniu, a tym samym wyciska on swe piętno na wiernych.

Idąc śladami Leona XIII nalegał Pius X na opieranie nauk seminaryjnych na św. Tomaszu z Akwinu. Neo-tomizm zainicjowany w Belgii przez Kard. Mercier leżał mu szczególnie na sercu, i Papież udzielał mu swego gorącego poparcia. Dla badania Pisma św. założył Instytut Biblijny i powierzył jego kierownictwo jezuitom, benedyktynom zaś zlecił przejrzenie i poprawienie tekstu Wulgaty.

Będąc sam przez wiele lat wikarym i proboszczem na parafii, wiedział. jak ważną jest katechizacja; dawał więc wskazówki proboszczom, zagrzewał ich do tej pracy i aby dać przykład, sam, nawet jako papież wygłaszał w niedzielę wobec tłumu zebranego na jednym z dziedzińców Watykanu kazanie na temat Ewangelii na ten dzień naznaczonej.

Pius X, jako rodowity Włoch był subtelnie i artystycznie muzykalnym. Od młodości interesował się muzyką i miał do niej wybitny talent; gdy był więc klerykiem w Seminarium w Padwie zwierzono mu prowadzenie chórów kościelnych, z czego wywiązał się znakomicie pod względem technicznym, a zarazem z wielką roztropnością i taktem, jak to podkreślają jego biografowie.

W ciągu swej kariery duszpasterskiej miał nieraz sposobność zauważyć w różnych miastach północnych Włoch, jak prawdziwy, starożytny śpiew kościelny podupada, jak wciskają się doń wszystkimi szczelinami nadużycia; wprowadza się nieraz melodie świeckie, arie operowe, a nawet muzykę lekką do kościołów w czasie nabożeństw. Skoro tylko wstąpił na tron papieski, w tym samym roku 1903, 22 listopada, Pius X we własnoręcznym „Motu Proprio“ o muzyce kościelnej skarcił te nadużycia będące zniewagą domów Bożych i poparł na pierwszym miejscu śpiew gregoriański, jako najodpowiedniejszy w swej powadze i uduchowieniu dla liturgii.

---

[1]) „Instaurare omnia in Christo“, 5 maja 1914 r

Śpiew gregoriański łączy się nierozerwalnie z tekstami mszalnymi, wiernie je zobrazowuje i odzwierciedla nastrój i treść modlitwy kościelnej; będąc bardziej uduchowiony i bezosobowy wyraża nie uczucia partykularne wiernych, ale oddaje myśl kościoła będącą osnową danego święta Łącząc się przez śpiew gregoriański z liturgią jednoczymy się najlepiej z modlitwą wspólną całego Kościoła. Melodie gregoriańskie skupione i rozmodlone, niekiedy płomienne i strzeliste, to znów radosne i triumfalne, dopomagają wiernym do wniknięcia w ducha liturgii i zespolenia własnej modlitwy z błaganiem ogółu wiernych. „Motu proprio" Piusa X przyczyniło się do rozpowszechnienia śpiewu gregoriańskiego. Ruch rozpoczęty przez Benedyktynów w Solesmes za inicjatywą słynnego Dom Pothier, nabrał mocy i rozgłosu, a znalazł poparcie mądrego Papieża. W pół roku po wydaniu rozporządzenia o reformie w śpiewie liturgicznym, 22 kwietnia 1904 roku, gdy odbywały się uroczystości 1300-lecia św. Grzegorza Wielkiego, olbrzymia bazylika watykańska rozbrzmiewała potężnym chórem, składającym się z kleryków i zakonników (oczywiście przeważnie benedyktynów), którzy wykonali „Missa de Angelis". Całe nabożeństwo odprawione zostało przez Jego Świątobliwość, wyłącznie na modłę gregoriańską, ku uczczeniu twórcy i inicjatora śpiewu gregoriańskiego. Pius X jednak nie był nigdy krańcowym i bezwzględnym reformatorem. Toteż uznawał w nabożeństwach również muzykę wielogłosową i popierał wielkiego kompozytora XVI w. Palestrinę, jak i innych, tworzących w stylu podobnie poważnym i godnych być zaliczonymi do artystów kościelnych.

W Rzymie powstała wnet Wyższa Szkoła Muzyki Kościelnej i specjalna komisja zajęła się wprowadzeniem w życie zarządzeń dekretu.

Pius X zajął się również reformą Brewiarza i Mszału; specjalną konstytucją określił mające być dokonane zmiany, np. niedzielom przywrócił ich dawne znaczenie, wprowadził pewne skróty do officium i dokonał różnych poprawek.

Za rządów Piusa X miały miejsce również niektóre beatyfikacje i kanonizacje — choć nie tak liczne, jak za ostatnich 2 papieży — że wymienimy tylko Joannę d'Arc, ks. Jana Vianney, Gabriela od Matki Boskiej Bolesnej, pasjonisty, Gerarda Majellę, redemptorystę, M Zofię Barat i innych.

Wielkim również dziełem opracowanym za Piusa X i z jego poparciem była reforma prawa kanonicznego, dokończona dopiero za rządów Benedykta XV. Dawny bowiem Corpus Iuris Canonici, czyli zbiór praw nagromadzonych w Kościele od czasów wielkiego prawodawcy Grzegorza IX (wiek XII), do którego z biegiem wieków dodawano szereg nowych dekretów i zarządzeń papieskich, stanowił nieuporządkowane zbiorowisko uchwał i orzeczeń, często sprzecznych ze sobą i niejasnych, nawet dla fachowych prawników Księgi dekretaliów wydane za Klemensa V w 1314 r. były ostatnią próbą kodyfikacji prawa kościelnego. Dawał się więc mocno odczuwać brak ładu w tej tak ważnej dziedzinie. Pius X z całą energią

i gorliwością zabrał się do pracy: wyznaczył specjalną komisję kardynalską, której sam przewodniczył, wciągnął do współpracy biskupów i przełożonych zakonów, jak i specjalistów prawników; większa część jego dzieła została wykończona jeszcze za jego życia i jak sam Benedykt XV to uwydatnił w swym przemówieniu 4 grudnia 1916 r.: „Pius X jeden powinien być uznany za autora tego kodeksu. Dzieło to unieśmiertelni jego imię i umieści go w szeregu słynnych prawodawców w Kościele“.

Działalność Piusa X tak różnorodna i wszechstronna wkraczała w przeróżne dziedziny. Zakreślimy tylko ogólne jej zarysy.

Jako biskup Rzymu dbał o podległą sobie diecezję: budował seminaria i kościoły na peryferiach, gdzie brak ich dawał się odczuwać, zakładał szkoły, sierocińce, domy parafialne, świetlice, ogródki dziecięce, w samym Rzymie i okolicach.

Nie zaniedbał również i dziedziny sztuki, tak drogiej rodowitym Włochom, dumnym z niezliczonych i niezrównanych skarbów, rozmieszczonych pod italskim niebem. Pius X kazał więc odrestaurować i otworzyć dla publiczności apartamenta Borgia na Watykanie, a mieszczące w sobie wspaniałe freski Pinturicchia z epoki wczesnego Odrodzenia (XV w.). Założył drukarnię watykańską, nowocześnie wyposażoną; umieścił słynną Pinakotekę w nowych, jasnych i dostępnych salach, gdzie obecnie oglądać można bogaty zbiór obrazów mistrzów średniowiecza i renesansu.

Pius X był nietylko reformatorem, działaczem, wielkim papieżem. Był świętym i to świętym na miarę niejrzeciętną W życiu jego nie spotyka się nadzwyczajności, widzeń, ekstaz, ale wiemy, że nie to stanowi świętość. Za jego życia krążyły uporczywe pogłoski, że „papież robi cuda“. Mówiono, że chore dziecko przyniesione przez zbolałą matkę na audiencję, Pius X wziął na ręce i oddał matce zdrowe; to znów mężczyzna dorosły przedstawia Ojcu św. sparaliżowane ramię i woła błagalnie: „Ojcze św., uzdrów mnie“ Pod dotknięciem świętego ręka powraca natychmiast do zdrowia. Takich przykładów można by cytować wiele, aczkolwiek nie są one dostatecznie sprawdzone i również o świętości nie stanowią. Jedyne znaczenie ma tu heroiczna cnota. I tę Pius X praktykował od dziecka wytrwale, niezachwianie, niezmiennie W dzieciństwie pobożny, niewinny, posłuszny, spełniał obowiązki gorliwie, bez zarzutu; w każdym wieku, na każdym stanowisku, czy jako uczeń, czy seminarzysta, czy później jako wikary, proboszcz, biskup Mantui, patriarcha wenecki, wreszcie na tronie papieskim, cnoty jego jaśniały w całym blasku. Mówiono o nim, że nie jest dyplomatą — istotnie, polityką specjalnie nigdy się nie zajmował i sztuczki dyplomatyczne były mu całkowicie obce, ale ten zarzut nie jest żadną papieża ujmą. Niektórzy sarkali, że nie lubiąc przepychu i etykiety, kasował w Watykanie niektóre obyczaje, jak całowanie nogi jego przez pielgrzymów, że dopuszczał do swojego stołu wbrew przepisom, prałatów i monsignorów. Umiłowanie prostoty i pokora cechowały go od młodości, a pompa dworu watykańskiego była dla niego udręką, toteż unikał jej skwapliwie, gdzie tylko mógł.

Jedną z charakterystycznych cnót Piusa X było wielkie miłosierdzie Odznaczał się nim już jako wikary i proboszcz, gdy wypróżniał stale skromną sakiewkę na wspomożenie ubogich i potrzebujących w parafii Sam sobie wszystkiego odmawiał, nie dbał o własną odzież ani pożywienie, byle móc ratowac nędzarzy. Gdy w Salzano wybuchła cholera, Ks. Sarto z nieograniczonym poświęceniem pielęgnował chorych, udzielał sakramentów świętych zarażonym, grzebał umarłych z narażeniem własnego życia Wszędzie pierwszy na usługi bliźnim przodował przykładem i porywał innych w swe ślady. Opinia o jego świętości szeroko rozeszła się po Włoszech i zwrastała po jego śmierci. Grób jego w podziemiach bazyliki św. Piotra stał się celem pielgrzymek; stale zasypany kwiatami świadczył o miłości, jaką wierni otaczali świętego. To skłoniło Stolicę św. do rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego w 1923 r., uwieńczonego uroczystą beatyfikacją 3 kwietnia 1951 r. Warto przypomnieć, że od św. Piusa V, Dominikanina, (zm. 1573 r.) żaden z papieży nie został uwieńczony aureolą świętości, choć wielu znakomitych, uczonych, świątobliwych jednostek zasiadało w ciągu tych 300 lat z górą na Stolicy Piotrowej

Postać Piusa X wywierała urok niezwykły. Kto go widział choć raz w życiu, musi przyznać, że trudno było nie ulec nieodpartemu czarowi, jaki otaczał jego osobę, choć zewnętrznie nie przedstawiał nic ponad przeciętną miarę; wzrostu średniego, o rysach twarzy wcale nie włoskich, a raczej słowiańskich, jak u wielu mieszkańców prowincji weneckiej, graniczącej z Jugosławią, oczy miał niebieskie, pogodne, głęboko patrzące na świat, pełne wyrazu i te nadawały łagodny blask jego skupionej twarzy. Głęboka bruzda na czole świadczyła o wielkiej trosce Ojca Chrześcijaństwa o dobro zawierzonych mu dusz w Owczarni Chrystusowej.

Śmierć jego miała miejsce 20-go sierpnia 1914 r. na samym początku wojny, którą przewidział i wyraźnie przepowiedział. W obliczu nieszczęść spadających na ludzkość, kochające serce ojcowskie Piusa X bić przestało. Dziś stał się w niebie orędownikiem Kościoła, Papiestwa i dusz zwracających się z ufnością do jego wstawiennictwa.

NOWA „MAŁA ŚWIĘTA"

Św. Maria Goretti (1890—1902)

Na wielkość świętych składa się zawsze jako najważniejszy czynnik wielka miłość Boża. Lecz każdy święty stanowi zawsze wybitną indywidualność, gdyż każdy w inny sposób wyrażał tę miłość Boga w życiu. Stąd każdy z nich odznacza się jakąś specjalnością. Niektórzy z nich wybijają się heroiczną np. czystością. Wśród nich widnieje postać dwunastoletniej dziewczynki Marii Goretti uwieńczonej chwałą świętych w ub. r. jubileuszowym.

Dziwią się niektórzy, dlaczego właśnie ona, Marietta, dostąpiła godności kanonizacji, kiedy tyle dziewcząt w jej wieku w podobnym położeniu oddało swe młode życie w ofierze, by nie popełnić grzechu. Dziś jeszcze po 48 latach pamięć jej żywą jest w zachodniej części Włoch, zwłaszcza w okolicy Nettuno[1]). Żyją tam jeszcze osoby, które znały Mariettę, obcowały z nią; kobiety, które były jej rówieśniczkami, spotykały ją na targu, przystępowały z nią razem do I-ej Komunii św. i one opowiadają szczegóły z jej życia, które utkwiły głęboko w ich pamięci. Młodzież w tych stronach nuci niekiedy żałosną piosenkę o świętej dziewczęce, a dźwięczne jej imię powtarza się niemal w każdej zwrotce.

Niewiele mamy wiadomości o jej cichym i ukrytym życiu. Upłynęło ono wśród walki rodziny o byt i borykania się z ciężkim losem. Ojciec Marietty, tęgi góral zamieszkujący dzikie okolice apenińskie w prowincji Marchia Ancona, w pocie czoła obrabiał kamienistą ziemię rodzinną. Urodzaje były liche, twardy, opoczysty grunt przynosił marne plony. Nie było czym wyżywić żony i dzieci. Kilka worków kasztanów miały nieraz wystarczyć jako zapas żywności na całą zimę. Luigi Goretti zniechęcony daremnym wysiłkiem, postanowił porzucić swe rodzinne strony i puścić się w świat, szukając szczęścia w zachodniej części Włoch, gdzie rola żyźniejsza, klimat łagodniejszy, a kraj wesoły i szczęśliwy. Wędrówka za chlebem stała się koniecznością życia. Luigi sprzedał swe pole i ubogą chatę, zaprzągł muła do wózka i rodzina ruszyła w drogę.

W Rzymie Goretti dowiedział się o ziemiach leżących w okolicy Nettuno, które właściciel hr. Mazzoleni wydzierżawiał chłopom. Udał się więc z rodziną w te strony i w wiosce Ferriere znalazł opuszczony budynek w pobliżu bagien Pontyjskich. Zajęto go natychmiast i zagospodarowano się na nowym, nędznym mieszkaniu.

Marietta miała sześć lat w chwili tej zmiany, która była niezwykłym wydarzeniem w jej życiu. Ulubienica ojca, łagodna, serdeczna, pobożna, okazywała jednak silną wolę, a niekiedy zacięte upory dziecinne. Ale w sercu jej z czasem wyrastały kwiaty cnót, zasiane troskliwą i staranną pieczołowitością matki.

Luigi zawarł umowę z właścicielem gruntu i z zawziętością wziął się do pracy. Warunki okazały się nad wyraz ciężkie. Pola od szeregu lat leżące odłogiem, wyjałowione, zarosłe błotną trzciną nie przynosiły plonów. Ziemia w znacznej części zalana wodą wymagała kolosalnych wkładów pracy i drenowania które by ją osuszyły i uczy-

---

[1]) Jest to niewielki port i plaża na południe od Rzymu.

niły zdatną pod uprawę. Praca była żmudna, wytężająca, ale Luigi liczył na swe mocne dłonie i na niewyczerpane siły. Oczyszczał stare rowy, kopał nowe, mozolił się, natężał muskuły. Osiągnął znaczne rezultaty, ale zrujnował zdrowie. Nadludzki trud, który wziął na swe barki, choć polepszył materialny byt rodziny, stał się przyczyną jego nieszczęścia. Goretti zapadał to na malarię panującą w okolicy, to na bronchity; dzielny góral przeliczył się ze swoimi siłami. Chcąc nie chcąc musiał się więc zgodzić na propozycję właściciela majątku, i przyjąć wspólnika, niejakiego Jana Serenelli, przybyłego wraz z synem Aleksandrem w te strony z rodzinnej prowincji Gorettich, Marchii Ancony.

Dla Luigiego był to cios i upokorzenie, musiał się bowiem uznać za zwyciężonego i zgodzić na podział dochodów, ale nie było rady ani innego wyjścia z sytuacji. Tymczasem dzieci przybywało przy domowym ognisku. Piąta z rzędu mała Ersylia niedawno przyszła właśnie na świat. Trzeba było dzielić mieszkanie z nowymi przybyszami. Te okoliczności tłumaczą, dlaczego ojciec i syn Serenelli zamieszkali razem z rodziną Gorettich.

Początkowo współżycie układało się składnie i lepsze dni zdawały się świtać dla znękanej gromadki. Z czasem jednak ujemne strony wspólnego zamieszkania dawały się we znaki. Stary Serenelli zimową porą zaczął pić, Aleksander zaś, 18-letni wyrośnięty młodzieniec, ponury i skryty, wykazywał charakter namiętny i mściwy. Assunta Goretti bała się jego szkodliwego wpływu dla swoich malców i pilnie ich strzegła przed nim. Między obu ojcami dochodziło do coraz częstszych sporów i kłótni. Luigi wkońcu ustępował dla utrzymania spokoju i dawał się wyzyskiwać przez niegodziwych wspólników. Zdrowie jego pogarszało się z dniem każdym, siły go zdradzały, ataki gorączki wracały coraz silniejsze, aż wreszcie choroba powaliła twardego górala. Opatrzony św. Sakramentami zmarł na ręku zrozpaczonej żony, zostawiając ją samą z sześciorgiem małych dzieci.

Ostatnie słowo Luigiego do żony Assunty, wypowiedziane przed śmiercią było polecenie, by wróciła do rodzinnej wioski w Apeninach. Wykonanie tej rady było jednak na razie niemożliwe. Uboga wdowa z drobnymi dziećmi, z których najstarszy Angelo miał lat 13, nie miała środków do przedsięwzięcia dalekiej podróży, zresztą nie wiedziała, czy w rodzinnych stronach zastanie lepsze warunki egzystencji. Trzeba więc było wziąć się do pracy na miejscu. Jan Serenelli zgodził się przyjąć Assuntę do roboty w polu, a 12-letnia Marietta musiała zastępować matkę przy gospodarstwie.

Ciężkie warunki życia przedwcześnie wyrobiły dziewczynkę. Była ona nad wiek poważną, pracowitą i z pełnym poczuciem odpowiedzialności wzięła na swe młode ramiona obowiązki domowe. A były one rozliczne: czuwanie nad młodszym rodzeństwem, gotowanie posiłków, utrzymywanie bielizny, pranie, sprzątanie itd. Trzeba też było doglądać bydła, wydoić krowy, mieć oko nad drobiem. Cały dzień upływał na pracy sumiennie, starannie wykonanej. Maria nie traci ani chwili czasu, nie myśli o odpoczynku ani o rozrywce. Ciężar odpowiedzialności ją przytłacza, ale dziewczynka jest pogodna, uśmiechnięta, pełna poświęcenia. Nie ogląda się na siebie, żyje tylko dla drugich. Wśród rozlicznych prac domowych nie było nawet czasu myśleć o szkole. Nigdy więc do niej nie mogła uczęszczać, i nie umiała czytać ani pisać. Gdy nadeszła chwila I-ej Komunii św. Marietta była zapóźniona i należała do najstarszych wśród swoich towarzyszek. Przystąpiła jednak do niej z wielką gorliwością i szczę-

ściem, oraz postanowiła od tej chwili czynić usilne postępy w dobrem, a tym samym zbliżać się ustawicznie do Oblubieńca dusz. Przygotowuje się do niej wiernym wypełnianiem woli Bożej, którą dzień każdy ze sobą przynosi.

Wkrótce niepokój zaczyna ją dręczyć. Oto spostrzegła, że Aleksander Serenelli krąży wciąż koło niej, spogląda na nią pożądliwymi oczyma, coraz natrętniej do niej podchodzi. Marietta przy całej swej nieświadomości grzechu, na razie nie rozumie, o co chodzi. Jednak jej czysta dusza wnet przeczuwa jakieś grożące niebezpieczeństwo. Instynktownie trzyma się więc jak najdalej od natręta, unika go, nie patrzy w jego stronę.

Gdy razu pewnego pracowali razem w polu, gdyż matka czując się chora wysłała ją do roboty w swoim zastępstwie, Aleksander podszedł do niej z bliska i chwycił ją za głowę. Marietta z krzykiem go odepchnęła i uciekła w stronę domu. Drżąc ze strachu przesiedziała kilka godzin na strychu, bojąc się zejść ze swojej kryjówki.

Innym razem wtargnął do izby, którą sprzątała i rzucił się na nią krzycząc: „Ulegnij mi, ulegnij!" Marietta w pierwszej chwili straciła równowagę, ale natychmiast się zerwała i zaczęła się bronić jedyną dostępna sobie bronią — paznokciami. Aleksander puścił dziewczynę ale zawołał: „Jeżeli szepniesz choć słowo matce, zabiję cię!" I zagroził jej pięścią. Tego dnia obiad był spóźniony, a biedna Marietta otrzymała od matki niezasłużone łajanie. Nie śmiała jednak nic powiedzieć o tym co zaszło. Wiedziała zresztą, że matka nic jej pomóc nie zdoła, a stosunki ze wspólnikami staną się jeszcze gorsze.

Wobec niebezpieczeństwa co dzień grożącego, Marietta dojrzewa, staje się jeszcze poważniejsza i jakby smutna. Widzi płonące oczy swego dręczyciela, przeczuwa jego niegodziwe zamiary. Gnębi ją obawa obrazy Boskiej. Ale jakie dla niej wyjście z ciężkiej sytuacji? W jej uszach brzmi okrutna groźba: „Jeżeli powiesz słowo, zabiję cię!" Więc milczy i chowa w sercu trwogę. Czuje swą niemoc, swą bezradność, szuka pomocy u Matki Najświętszej. Wieczorem długo się modli przy łóżeczku i nieraz cicho szlocha.

Aleksander Serenelli nie myśli jednak zaniechać swych niecnych zamiarów. Pewnego dnia, gdy starsi byli w polu, a inni przy młocarni, Marietta samotnie pracowała przed domem, naprawiając koszulę Aleksandra. Nagle niegodziwiec stanął przed nią i krzycząc chciał ją zmusić do wejścia do izby. Przeczuwając coś niedobrego, dziecko stanowczo się oparło; wtedy Aleksander rzucił się na nią i siłą zawlókł do wnętrza domu.

Wówczas rozegrała się scena tragiczna. Marietta widząc na co się zanosi, wzywa rozpaczliwie ratunku, ale głosu jej nikt nie słyszy. Napastnik rzuca dziewczynkę na ziemię, ona broni się z całych sił, gryzie i drapie przeciwnika, wołając: „Nie, nie, nie chcę, nie chcę!"

— Czemu nie chcesz? — pyta Aleksander.

— Bo to, czego ode mnie żądasz, Aleksandrze, jest grzechem, Bóg tego zabrania. Ty, Aleksandrze, jeżeli zgrzeszysz, pójdziesz do piekła!

Wtedy on widząc, że nie zmusi dziewczęcia do uległości, bierze ostre narzędzie, które z sobą przyniósł, służące do zszywania worków i potrząsa nim nad głową swej ofiary z groźnym krzykiem. Marietta błagalnie prosi swego kata: „Puść mnie, Aleksandrze, zostaw mnie w spokoju!" Ale on nie przestaje wymachiwać ostrą bronią nad dziewczynką i całym swym ciężarem przygniata drobną jej postać. Ona odpycha go rozpaczliwie, gotowa zginąć raczej, niż stracić niewinność duszy na Chrzcie

św. otrzymaną i woła nadal z nadludzkim wysiłkiem: „Nie chcę, Aleksandrze, nie chcę zgrzeszyć!“

Wówczas namiętność i złość opanowuje serce napastnika. Z siłą godzi w słabe, dziecięce ciało i uderza weń szydłem tak, „jak się bije w kowadło“ wedle tego co sam później zeznawał. Marietta po chwili przestała krzyczeć; krew polała się potokiem, wreszcie zemdlała z wysiłku i upływu krwi.

Aleksander myśląc, że Marietta nie żyje, przerażony, rzucił szydło w kąt pokoju, uciekł do siebie, zamknął się na klucz i rzucił się na łóżko. Mariettę pławiącą się we krwi zastała sąsiadka, potem mały braciszek Mariano, zaniepokojony płaczem najmłodszej siostrzyczki, Ersylii, w kołysce. Mariano pobiegł z krzykiem do matki, wracającej z pola i oznajmił jej, że Marietta „upadła i coś się z nią stało!“

Wówczas zbiegli się wszyscy: rodzina, sąsiedzi; nikt nie mógł pojąć, kto tak zmasakrował niewinne dziecko. Ciało jej zorane do żywego ostrym narzędziem, pierś rozdarta, wnętrzności odkryte, krew się leje strugami...

Zbolała matka usiłuje wydostać z ust dziewczęcia straszną tajemnicę dokonanej zbrodni; wreszcie pada imię Aleksander.

— Ale jaka tego przyczyna? dlaczego? — pyta Assunta.

— On chciał mnie zmusić do grzechu, mamo — szepcze bohaterskie dziecko — ale ja nie chciałam...“

Mariettę zawieziono do szpitala w Nettuno. Lekarze znaleźli czternaście ciężkich ran na męczeńskim ciele dziewczynki, rany głębokie, przeszywające organa wewnętrzne. Uznano operację za konieczną. Trwała dwie godziny bez znieczulania, obawiano się bowiem zapalenia otrzewnej. Płuca były przekłute, jelita poszarpane, jedna rana dotykała niemal serca. Opatrzono Mariettę, zeszyto jej rany, zabandażowano całe prawie ciało. Dziecko nawet nie wydało jęku, tak było wyczerpane bólami i utratą krwi. Po operacji Marietta zemdlała. Dręczyło ją pragnienie, ale odmówić jej musiano tej ostatniej ulgi. Noc była ciężka. Marietta cierpiała niewymownie. Przed operacją wyspowiadała się przed kapelanem szpitalnym, a nazajutrz miała przyjąć Komunię św. Marietta gorliwie przygotowywała się do przyjęcia Jezusa. Na zapytanie kapłana, czy przebacza Aleksandrowi, zastanowiła się na chwilę, spojrzała na wiszący na ścianie krucyfiks i odrzekła: „Ja mu przebaczam! Pragnę, by on kiedyś połączył się ze mną w niebie!“ Assunta i obecny kapłan wzruszyli się do łez na widok tak wspaniałomyślnego aktu.

Na ciele Marietty występowały sine plamy, oznaki rozpaczliwej walki małej bohaterki; przeszyte wnętrzności nie rokowały jej życia. Po upływie dwóch dni spędzonych w szpitalu, po otrzymaniu Ostatniego Namaszczenia, Marietta wśród srogich cierpień oddała swą duszę Bogu 6 lipca 1902 r.

Aleksander, zaaresztowany przez policję, dostał się do więzienia w Nettuno, następnie do Rzymu. Wobec sędziów stawał zuchwale i bezczelnie, przeczył oskarżeniom, nie przyznając się do winy. Zaczął nawet udawać obłąkanego, ale oszustwo szybko się wykryło. Fakty były jednak zbyt jaskrawe, dowody zbrodni niezaprzeczalne. Znaleziono ostre narzędzie, którym się posługiwał. Aleksandra skazano na 30 lat ciężkich robót.

Początkowo z cynizmem udawał wesołka, ale po latach zmienił się gruntownie. Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. Marietta z nieba wyprosiła mu skruchę.

Gdy lata kary upłynęły, Aleksander wypuszczony na wolność nie zapierał się już swej winy, ale przeciwnie, oskarżał się i żałował za swą niecną zbrodnię. Zeznawał

w procesie beatyfikacyjnym swej niewinnej ofiary, świadcząc, że „czystą była jak woda“ i opierała mu się ze wszystkich sił.

Zwrócił się też do Assunty, matki dziewczęcia, prosząc ją o przebaczenie, i aby zapieczętować zobopólne pojednanie razem przystąpili do Komunii św., klęcząc obok siebie. W końcu Aleksander usunął się do klasztoru Kapucynów w Ascoli, by jako pracownik ogrodowy w pokucie i skrusze dokonać żywota. Łaskę tę wyprosiła mu z góry anielska dzieweczka.

* * *

Beatyfikacja młodziutkiej męczennicy miała miejsce 27 kwietnia 1947 r. Na procesie przygotowawczym zeznawała jej matka wraz z rodzeństwem, również sam Aleksander.

Dnia 25 czerwca 1950 r. Pius XII zaliczył Marię Goretti w poczet Świętych. W dzień uroczystości, która odbyła się z całą okazałością, niezliczone tłumy napełniły bazylikę św. Piotra, a ½ miliona ludu zebrało się na placu nie mogąc wejść do świątyni. W osobnej loży znajdował się jak zwykle korpus dyplomatyczny, a w innej, rodzina świętej, tj. jej matka staruszka i czworo żyjącego rodzeństwa. Jedna z jej sióstr Teresa jest obecnie zakonnicą w Zgromadzeniu Sióstr Franciszkanek Misjonarek. Fakt to pierwszy raz notowany w dziejach świętych, by rodzona matka była obecną na kanonizacji swego dziecka.

Maria Goretti ogłoszoną została „virgo et martyr“ (dziewicą i męczenniczką) i Ojciec św. odprawił uroczystą sumę pontyfikalną w czerwonym ornacie według kommune Mszy II dla Panny i Męczenniczki „Me expectaverunt“ z osobną Kolektą ułożoną specjalnie do nowej świętej. W pięknej przemowie Ojciec św. przedstawił ową „piccola santa“ (małą świętą), którą też nazwał „benjaminkiem wśród świętych kanonizowanych“.

S. M. L.

Siostra M. Otmara - Służebniczka Maryi

„Gdzie może być Helutka? Noc się robi, a dziewczynki jak nie ma, tak nie ma! Boże Drogi, gdzież to dziecko się zapodziało?..."

— W zaniepokojeniu wielkim matka szukała swej kilkuletniej córeczki. Przebiegła myślą jeszcze raz miejsca, gdzie mogłaby ją odnaleźć. Niezliczone razy uświadamiała sobie moment, gdy widziała dziewczynkę po raz ostatni: wyszła z kościoła po nabożeństwie wieczornym i... dziewczynki przy niej nie było... Myśląc, że Hela sama pobiegła do domu, wróciła, lecz i tu jej nie zastała. Wtem błysnął matce pomysł, by poszukać w kościele. Poszła do zakrystiana i prosiła, by otworzył świątynię. Gdy otwarto — uszczęśliwiona odnalazła w jednej z ławek śpiącą smacznie córeczkę.

„Musiałam zostać, by adorować Pana Jezusa... Taki samiutki zostaje na noc. Taki sam... Chciałam być przy Nim i modlić się, żeby Mu nie było tak smutno" — objaśniła mała.

— „Chciałam być przy Nim..." — ta myśl idzie za tą dziewczynką przez lata.

W rodzinnym kółku, w gromadce rodzeństwa, pod okiem kochających rodziców, zapracowanych w gospodarstwie domowym, w jednej z wiosek Wielkopolski — Helena Majorkówna rośnie w spokoju, wypełniając dni nauką i pracą. Szkołę powszechną przechodzi bez trudności, jak i później wydziałową, uczy się prócz tego haftu i szycia, a w domu pomaga wydatnie matce i w dodatku umie pięknie zorganizować do pomocy rodzeństwo. Jest instruktorką, wodzem dzieci państwa Majorków, — ogromnie kochana dzięki swej wesołości, pracowitości. Jest roztropna i pomysłowa, chętnie urządza nie tylko zabawy, ale i niespodzianki w domu z racji różnych uroczystości.

Umie nawet ładnie pisać „do rymu", a wiersze wychodzą spod jej ręki łatwo, „jak z płatka". Pisze chętnie, gdy tylko zajdzie potrzeba, czy gdy ktoś o to poprosi. Prośbom z zasady nie odmawia, przeciwnie, sama wyszukuje okazje do udzielenia jakiejkolwiek pomocy, wielką bowiem dla niej radością jest sprawienie komuś choćby małej przyjemności.

Hela lubi śpiewać, śmiać się, ale i — modlić. Do kościoła chodzi często, a wraca z niego jeszcze weselsza, niż zwykle.

I tak mija radosny okres dzieciństwa. Hela ma już 18 lat. W młodej główce snuje się stale myśl — o Panu Jezusie... Nic dziwnego, Bóg daje jej bowiem wielki Swój dar — powołanie zakonne. Rozpoznaje je łatwo i decyduje się na wstąpienie do znanych jej Sióstr Służebniczek Maryi Pleszewskich. Zgłasza się w roku 1932 i zostaje przyjęta najpierw na próbę, a później do postulatu. Przełożeni poznając cechy charakteru kandydatki chcą jej dać wykształcenie przedszkolanki. W tym celu wysyłają Helę do bliskiego Poznania, gdzie przez 3 lata uczyć się ma w Seminarium Ochroniarskim.

Zaczęły się dni wytężonej pracy. Hela nie szczędziła siły, by zdobyć wiedzę. Zresztą nauka nie przychodziła jej z trudem, była to dziewczynka zdolna i z natury inteligentna. Ale oprócz pracy w szkole miała jeszcze inne zajęcia: pomagała wszystkim domownikom, najczęściej Siostrom, u których mieszkała z kilkoma innymi kandydatkami, jak ona uczęszczającymi do seminarium.

Towarzyszki zauważyły łatwo, że Helutka aż pali się do każdej pracy i pomaga nadzwyczaj chętnie. Okazji do tego nie brakło ani w szkole, ani w domu, lecz najwięcej wysiłku i energii wymagała praca, która odbywała się w samym wnętrzu młodej duszy.

Dla Helutki ważne było nie to, co się działo nazewnątrz. — O, nie! Praca wewnętrzna, praca nad doskonaleniem się, zdobywanie cnót — to stało na pierwszym planie w jej życiu. Zaobserwować można było wysiłek w utrzymywaniu się w skupieniu, w chodzeniu w obecności Bożej, a później skutek:

opanowywanie wszelkich odruchów niecierpliwości, równowaga wewnętrzna, przełamywanie wygodnictwa czy uporu, jaki w dużym stopniu miała wrodzony.

Pracowała nad tym wytrwale dzień w dzień i to na swój sposób, z wytrwałością przechodzącą aż w upór. „Chcę“ i „muszę“ — to hasła, według których prowadziła swe życie. A czego chciała? W pierwszym rzędzie — dobrze się modlić! Modlitwa była kwestią najważniejszą, było to dla niej „żyć — albo nie żyć!“ — jak się wyraziła. Chciała modlić się tak, by w każdej chwili móc żyć dla Boga — tylko dla Niego!

Jakże to zdobyć? — Pokorną prośbą i pozytywnym dążeniem. — Hela więc się modliła i pracowała. — Podziwiać można było, jak każdą dosłownie minutę wolną od zajęć — poświęcała modlitwie. Rozmyślać mogła godzinami, umiała na pamięć dziesiątki koronek, układała je sama z swych aktów strzelistych. Szeptała różaniec z koleżankami, idąc do szkoły; przy zajęciach do tego odpowiednich, mówiła pacierze na nieprzeliczone intencje, ba nawet późno wieczorem, chociaż zmęczona, mogła wyklękiwać w kaplicy długie godziny. Obrywała za to bury, że postępuje nieroztropnie, że lekceważy zdrowie itp.

Tak, Hela w zapale młodzieńczej gorliwości lekceważyła wszystko, co nie było Bogiem, co było przemijające lub mierne. Zresztą nie wydawało jej się, że szkodzi tym zdrowiu, przecież na modlitwie właśnie wracały siły fizyczne. — Rzeczywiście wychodziła z kaplicy odświeżona, jakby wypoczęta. Zdrową chciała być — zjadała, jak polecono duże porcje wszystkiego, co lubiła czy nie lubiła; że było to dużym jej umartwieniem, nikt z otaczających ją o tym nie wiedział, czyniła to bowiem z zadowoleniem i humorem.

W duszy piastowała wielkie marzenia. Wybuchły one z całą siłą, gdy po ukończeniu seminarium — przeszła do nowicjatu.

W cudownym dniu obłóczyn zakonnych, dnia 4 stycznia 1936 r. wraz z 10 towarzyszkami, w białej sukience, w welonie i mirtowym wianku na głowie — przystąpiła do ołtarza...

Patrzył na Swą małą, szczuplutką, a rozpromienioną szczęściem nową Oblubienicę — Pan Jezus.

W ołtarzu kaplicy Domu macierzystego stała figura Najśw. Serca. Jakże często wpatrywała się w oblicze Tego Pana Jezusa — Helutka. Umiała wyczytać po wyrazie twarzy, czy jej „Umiłowany ponad wszystko“ — zadowolony jest z niej czy nie i w jaki sposób ma się poprawić, w ogóle z tym Panem Jezusem rozmawiała długo i często.

Dziś w obłóczyny Chrystus uśmiechał się do niej, a ona serce Mu tak chętnie oddawała — na zawsze. — Z rąk kapłana otrzymała habit: skromną, granatową sukienkę Służebniczki Maryi. Dano jej sznur... różaniec, welon bielusieńki... Gdy przy kończącej się uroczystości wypowiedziano nowe imię, jakie odtąd miała nosić Helutka — ukochała je, jako pochodzące naprawdę od samego Zbawiciela. Miała odtąd się nazywać — **Siostra Maria Otmara, — Służebniczka Maryi.**

Była szczęśliwa! Biło to szczęście z jej piwnych oczu, z uśmiechniętej twarzyczki, z całej postaci. Taka przy tej radości była skupiona, małomówna! Taka cicha!

Pierwszy rok Nowicjatu przeszedł na pozór spokojnie: dużo modlitwy, dużo konferencji, lekcji, rozmyślań, przeplatanych pracą fizyczną: w refektarzu, dormitarzu czy w kuchni.

Prosiła gorąco Boga, by wykorzystała doskonale czas spędzony w nowicjackim zaciszu. Bóg więc nie szczędził łask, by ją udoskonalać. Znalazły się w tych łaskach i krzyżyki, prowadzące do tego celu najlepiej — krzyżyki niewidoczne oczom ludzkim, a bardzo bolesne.

Nie notowała swych przeżyć, czasem tylko rzucała na papier jakby mimochodem zdania. Jeśli naprawdę oddawały stan jej duszy — przerażają bólem jaki w nich brzmi. Czai się za prostymi słowami udręka pokus i ciemności... Czy długo trwały — nie wiemy. Że były — to fakt niezaprzeczony, lecz nikomu niepowołanemu z tym się nie zdradzała, a po zachowaniu zewnętrznym poznać było trudno. Umiała panować nad sobą. „Nie chcę się użalać ani przed Bogiem, ani przed ludźmi...“ — to była jej za-

sada. — Nie skarżyła się więc nigdy. Zdziwiłaby się, gdyby miało się coś takiego jej przydarzyć. Przecież jej było „tak dobrze!".

Siostra Otmara nie wyróżniała się na pozór niczym specjalnym od reszty sióstr nowicjuszek. Chyba to można było w niej podkreślić, że była bardzo sumienna i chętna w wypełnianiu wszelkich reguł życia zakonnego. Ważne dla niej było wszystko, co polecono jej wykonać, choćby w oczach ludzkich wydawało się drobiazgiem.

I to właśnie było niezwykłe, że wszystko, dosłownie wszystko czyniła dla Jezusa! Czy to ścierała kurze, czy się uczyła, czy była na rekreacjach—wszystko nabierało wartości nieskończonej przez skierowywania intencją do Boga. Nie chciała by cośkolwiek miała zrobić dla oka ludzkiego. Nie! Tylko Jezus miał dostać całą pracę, każdą myśl, każde uczucie.

Wywalczyć trzeba było tę zawsze czystą intencję, lecz dla S. Otmary nie było nic niemożliwego.

Notowała czasem swe postanowienia, dotyczące rozwoju życia wewnętrznego. Dla tego, kto znał życie autorki i może porównać zamiary z wykonaniem, jakże ciekawe są te króciutkie zdania, zapisywane drobnym pismem w notesach. Są to notatki przede wszystkim z czasów rekolekcji rok rocznych.

Przytoczymy chociaż kilka z nich: „mieć na oku życie, pełne ofiary..." „Ja muszę się dobrze modlić!"... „być usłużną dla wszystkich..." „Nie będę się oddawała zbytnio pracy, by przez to nie uszczuplić modlitwy..." „...przyjmować wszelkie uwagi spokojnie i zawsze za nie dziękować". „Chcę być duszą radosną..."

Nie znajdzie się w tych postanowieniach nic z górnolotnych, nierealnych wzlotów. Szła drogą ku Bogu zwyczajną. Za regułę postępowania brała to, czego wymagało życie zakonne, zdarzenia codziennego dnia, zwykłe obowiązki... Jednym słowem, czego żądała: WOLA BOŻA, ukazywana jej w Zgromadzeniu, jakże bardzo przez nią kochanym.

Czy by kto się spodziewał, patrząc na te „jakąś niepozorną", jak ją często określano — malutką siostrę, że miała pragnienia, które postanowiła zrealizować, „bez względu na to, ileby miało kosztować!"

Oto dążyła do celu, jaki ujęła krótko: „Chcę być świętą!" „Jezu, uczyń ze mnie świętą!"'

Świętość, świętość szeptały jej mury zakonne, czarowna cisza nowicjackich sal...

I nie był to poryw krótkotrwały, bez sił. To była treść życia, treść, którą wywalczała sobie planowo, przez lata. To nie wygasło nigdy w jej duszy, przeciwnie, zapisze później: „pragnienie zostania świętą wzrasta we mnie z dniem każdym coraz więcej i coraz goręcej!"

Wiedziała, że żaden człowiek, więc i ona sama nie może liczyć w tym względzie na własne siły — zawiodą go prędzej czy później. Jezus miał to uczynić — nie ona! Jezus i Najlepsza z Przewodniczek Maryja. Do Niej zwróciła się z całą ufnością swego prostego, dziecięcego serca. — Kiedyś, zaraz po Komunii św. modliła się, a słowa łatwo przelewały się na papier: „z całą siłą, na jaką zdobyć się mogę, błagam Cię Matko, jako dziecko Twoje, racz dziś jeszcze rzec Panu memu... te cztery słowa: „Synu, uczyń zeń świętą!" — „O, Matko, o te cztery słowa Cię błagam. Dla Ciebie to takie łatwe, a dla mnie dobrodziejstwo bez granic! Być świętą, o Matko — Ty wiesz, że chcę nią być koniecznie!"

Czyż Maryja mogła zawieść. Czyż Jezus żłobiąc duszę Swej Oblubienicy potęgą Swej łaski, nie dokończyłby dzieła? Od Niego pochodziło palące pragnienie świętości, a Siostra Otmara dała swą współpracę. O to właśnie chodziło, o tę współpracę. Człowiek musi powiedzieć Bogu „fiat", musi wyrazić swą zgodę na pójście drógą, jaką mu ukazuje Stwórca. Inaczej do celu nie dojdzie Więc jeśli chce... A Siostra Otmara chciała „Chcę!" „Muszę być świętą!"

Przeszedł rok nowicjatu, drugi się zaczął... Przybyły nowe obowiązki, nowe zadania. Polecono jej przygotowanie do egzaminów po szkole powszechnej kandydatek oraz pomaganie w lekcjach niektórym starszym dziewczętom.

Okazała się w tej pracy prawdziwa Siostra Otmara! Dwoiła się i troiła.

Lekcje szły z serca do serca, wskazówki, pomoce, rady były zawsze chętnie udzielane. S. Otmara chciała niejako w innych przelać swą wiedzę. Włożyła w pracę całą duszę, oddała się bez reszty.

I nie tylko lekcje się udawały, lecz uczennice dużo korzystały, a egzaminy końcowe składano pomyślnie! To nie było najważniejsze! Rosły dusze! Można było Bogu przysporzyć chwały! Każda lekcja, jak i poszczególne zadanie czy ćwiczenie — miały specjalną intencję, ustalaną z uczennicami. Śmiano się, że u S. Otmary nie było zapewne mrugnięcia okiem czy oddechu, którego by nie ofiarowała w jakiejś intencji. W suche formułki matematyki, w zwykłe zadania szkolne wsuwały się jakby zupełnie naturalnie prześliczne myśli o Bogu, o celu życia... o wartości każdej chwili...

Uczenice były zachwycone, choć nauczycielka była wymagająca. Jakże często niejedna z nich szczerze wyznawała, że „chciałabym być taką, jak siostra, siostro Otmaro!" Ona uśmiechała się wówczas i króciutką na to dawała radę: „Proście, a otrzymacie..."

Lubiano ją. I za tę gotowość udzielania pomocy zawsze i każdemu, za dobroć, usłużność, sprawiedliwość i za tę pogodę słoneczną, jaką promieniała i za te niezwykłe rozmowy na rekreacjach, oczywiście o Panu Jezusie!

Zbliżała się profesja, poprzedzana 8-miodniowymi rekolekcjami. W dzień 5 stycznia 1938 r. Siostra Otmara z całym zrozumieniem, że oddaje się Bogu na całopalną ofiarę — złożyła pierwsze śluby zakonne, na okres 1-go roku, jak każą Konstytucje Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Maryi.

Pan Jezus swobodnie mógł nią rozporządzać.

Była bardzo prosta i właśnie przez ten pełen prostoty stosunek do Boga przypominała św. Teresę od Dzieciątka Jezus. „Jak ona chcę Cię Jezuniu ukochać, nie tylko trochę, ale do szaleństwa..." — pisała.

Kazano jej nadal prowadzić lekcje w nowicjacie, co z największym zadowoleniem wykonywała. Widziała w tym Wolę Bożą, a przy tym nowicjat tak bliski był jej sercu. Cieszyła się, że może przynajmniej „ocierać się o niego".

W życiu wewnętrznym rozwijała coraz większą energię, mimo, że trudności miała wiele. — Za św. Teresą powtarzała: „Ból dla Boga — cóż słodszego!"

Żadna praca nie wydawała się jej za ciężka, żeden wysiłek nie za wielki, wszystko było miłe, przyjemne, nie za trudne...

Wojna 1939 r., nowe warunki zmusiły S. Otmarę do innego zajęcia, niż dotychczas. Zamiast uczenia kandydatek, przydzielili ją Niemcy do pomocy w gospodarstwie, zostawiając z kilkudziesięcioma siostrami w Domu macierzystym, zamienionym na szpital wojskowy.

Musiała teraz nosić kosze zielonej paszy, biegać za ptactwem, brudzić się i błocić. Dano jej bowiem pod opiekę cały inwentarz ptasi. Czy to było przykre dla niej? Ależ wyglądało nawet na to, że było jej ulubionym zajęciem, jakby praktykowanym od dzieciństwa.

„Taka jestem tutaj szczęśliwa—mówiła. — Takam szczęśliwa! Umysł może naprawdę pogrążać się w Bogu, a dawniej musiałam przecież zajmować się czymś więcej!..."

Nie zmieniła tego szczęścia ani późniejsza praca refektarki dla Sióstr, jaka jej przypadła w udziale. Teraz już nie mogła pogrążać się w rozmyślaniach. Trzeba było starać się o pożywienie, uzupełniające skromne przydziały niemieckie, a gdy się wreszcie coś zdobyło — kłopot był z ukryciem przed oczyma hitlerowców.

I robota była ciągła, przez całuśki dzień do późnego wieczora.

Na świecie szalała zawierucha wojenna, a S. Otmara na szali ostatecznej rozgrywki kładła swe życie ze wszystkimi jego kłopotami, troskami i bólem.. Z bezgraniczną ufnością błagała Boga o wolność dla Ojczyzny... o ratunek dla ukochanej rodziny zakonnej... o Miłosierdzie Boże nad światem.

Specjalne miała nabożeństwo do ran Pana Jezusa. „Przez Rany Jezusowe — mawiała — można wszystko otrzymać". Szerzyła to nabożeństwo, rozdając maluśkie bileciki, z odpowiednimi myślami.

Przykrości jej nie brakło. Nieraz dopuszczał Bóg nieporozumienia, nieraz spotkała się z niezadowoleniem tych, którym chciała zrobić jak najlepiej.

Boleśnie to raniło serce, wrażliwe i czułe. Jakże prędko jednak umiała się otrząsnąć, nikomu nie brała za złe krzywdy, jaką jej wyrządzano. Cicho znosiła wszystko, bez słowa najmniejszej skargi. „Bóg tak chce..." — tłumaczyła sobie, i to dodawało jej siły, męstwa.

Jeśli pracy było za wiele, by podołać mogła jedna osoba — zapraszała do pomocy Pana Jezusa, Matkę Najśw., św. Józefa, czy św. Gerarda, by w Ich towarzystwie zdążyła na czas wszystko wykonać. I to nie byle jak! W refektarzu aż błyszczało od czystości, nigdy nie było spóźnień czy niedociągnięć.

Siły fizyczne małej Siostry nie były zbyt wielkie. Zmęczenie, mimo, że o tym nie mówiła nigdy, dawało się dostrzec wyraźnie. Przełożeni, widząc to, kazali jej w ciągu dnia wypoczywać pewien czas, dając ku temu warunki. Bardzo prędko jednak Siostra wykręciła się od tej, jak się jej wydawało, zbytecznej ulgi. Gdy jednak przyszło nowe zajęcie, sprzątanie biur szpitalnych, równie wyczerpujące, okazało się, jak jest naprawdę ze zdrowiem S. Otmary. Dwutygodniowa grypa wystarczyła, by choroba gruźlicy wybuchła z całą potęgą.

W marcu 1944 r. pewnej nocy, Siostra śpiąca w jednej sypialni ze S. Otmarą obudziła się na niezwykle silny kaszel i chciała zapalić światło. „Nie trzeba!" powiedziała rozkazującym tonem Siostra Otmara. Nie przyznała sie, że to był krwotok płucny. Usnęła spokojnie, spała do Mszy św., a później, choć bardzo blada, poszła normalnie do zajęcia. Jakże wesoło wyśpiewywała ulubione swe pieśni, wymachiwała szczotką na wszystkie strony, dopiero koło południa zdecydowała się na pójście do przełożonych zakonnych, i powiedzenie prawdy.

Musiała się zaraz położyć. Choroba rozwinęła się na dobre. Krwotoki powtarzały się, jak orzekła chora „na uczczenie Pięciu Ran Pana Jezusa". Cichutko, spokojnie S. Otmara leżała, czekając co będzie dalej. Zrealizowała widać, zapisane przed laty postanowienie: „Chcę należeć do dusz, które każdej chwili są gotowe na śmierć..."

Zdawało się, że koniec nadchodzi. Siostra więc wyspowiadała się w spowiedzi generalnej, przyjęła Ostatnie Sakramenta. Lecz Bóg nie zabrał jej jeszcze. Dzięki zastosowanemu leczeniu, intensywnie dawanym zastrzykom, rany płuc zabliźniły się tak, że na początku maja lekarz uznał ją zdolną do pracy. W zakonie nie wierzono temu orzeczeniu i rzeczywiście, już w listopadzie wróciła choroba i odtąd było coraz gorzej. Chora wstawała tylko na Mszę św., później leżała sama w infirmerii zakonnej całe dnie.

Siostry, które ją odwiedzały, wychodziły podniesione na duchu, nie tylko zachowaniem się chorej, lecz i jej wiarą bez wątpień, że Zgromadzeniu nic złego się nie stanie, że siostry w Pleszewie przetrwają wojnę, że nie wywiozą ich nigdzie. Zapewnienia te spełniły się dokładnie.

Całą chorobę, dokuczliwą i bolesną, znosiła S. Otmara tak mężnie i pogodnie, jak znosić może tylko ten, kto zrozumiał wartość cierpienia i umiał je kornie ofiarować Bogu, jako ofiarę ku Jego chwale — za innych!..

W Wielki Czwartek 29 marca 1945 r. chora prosiła o Ostatnie Sakramenta, gdyż „jutro w Wielki Piątek" umrze. Żadne pogorszenie w stanie choroby nie zapowiadało tak bliskiego już końca. Przełożeni jednak chcąc chorą zadowolić, a siebie uspokoić, prosili kapłana, który jej nosił Pana Jezusa, by ją w tym dniu zaopatrzył Ostatnimi Sakramentami.

Siostry żartowały, że „z Panem Bogiem trudno będzie sobie poradzić, przy nich umiała często postawić na swoim, lecz w tym wypadku się nie uda. Widocznie jednak i Pana Boga ubłagała, gdyż wieczorem w Wielki Piątek, dnia 30 marca 1945 r., po bardzo krótkiej agonii — odeszła spokojnie do Ukochanego Oblubieńca.

Po skonaniu upodobniła się nadzwyczajnie do Chrystusa Pana, umęczonego na krzyżu.

— Czy Siostra Otmara osiągnęła cel, jaki sobie przed kilkunastu laty postawiła? Czy zdobyła świętość?...

Świętość jest przede wszystkim dziełem Boga, a rola człowieka polega na wypełnieniu wszystkich żądań, stawianych przez łaskę.

Kto nie sprzeciwia się, ani nie odrzuca tych żądań, nawet wtedy, gdy wymagają rzeczy najbardziej bolesnych — dochodzi do tego stopnia świętości, jaki mu Stwórca przeznacza.

— Siostra Otmara szła zawsze drogą wymagań Bożych, „bez względu na to, ile kosztowało". Jezus znajdował w jej duszy gotowość na każde wezwanie...

Jeśli więc tak było, czy nie możemy śmiało powiedzieć, że cel swój — świętość jej przeznaczoną — osiągnęła? **X.**

Nadesłano do Redakcji:

PAWEŁ JASIENICA: **Wisła pożegna zaścianek**, str. 256. Warszawa PAX 1951.
Będziesz miłował — Modlitewnik dla dorosłych, str. 392. Warszawa PAX 1951.
Katechizm religii katolickiej, str. 180. — Cena 6 zł. Warszawa PAX 1951.
Ks. Prof. EUGENIUSZ DĄBROWSKI: **Studia biblijne**, str. 240, cena 22 zł, Warszawa PAX 1951.

Sprostowanie:

Do artykułu „Praktyczne sposoby odnowienia stanu doskonałości" w IV Nrze „Głosu Karmelu" wkradły się błędy drukarskie, które niniejszym prostujemy:

Na str. 109 w wierszu 17 od góry zamiast **postanowienie** ma być **postępowanie.**

Na str. 111 w wierszu 5 od góry zamiast **droga** ma być **dusza.**